

**Grzegorz Gortat**

# **Cień Kwapry**

**Wydawnictwo Siedmioróg**

*Copyright © by Grzegorz Gortat*

*Žonie i córce*

## **Główne postacie**

*Mikor* – władca Kambriddów

*Jon* – syn Mikora

*Larsenia* – żona Mikora

*Sajader* – dowódca królewskiego hufca

*Melkam* – młody krepok, marzący o sławie rycerza Melkama

*Dardan* – błazen królewski

*Arus* – ulap, znawca sztuki lekarskiej

*Nara* – mamka Jona

*Hyremin* – żołnierz z hufca Sajadera

*Iganiet* – władca Asynitów

*Mitran* – córka króla Iganieta

*Godes* – brat Iganieta

*Egonit* – władca Gartów

*Assurit* – władca Hyksosów

## Prolog

*Każdego dnia napełniamy naczynie  
Miarką dobrych postępów,  
Bacząc, by z nastaniem wieczora  
Nie okazało się puste.*

Księga Praw, Przykazania Najpierwsze 5, 8

Mogłem prawdziwie uważać się za szczęśliwego, kiedy przy blasku gasnącego łuczywa pochylałem się nad kołyską Jona i składałem na jego czole ojcowski pocałunek. Dawno umilkł gwar dnia. Pierwsze gwiazdy zapalały się na niebie. Ciszę wieczoru przerywały tylko pokrzykiwania strażników, strzegących na murach bezpieczeństwa Mendery. Ich wołanie nie niosło zapowiedzi nieszczęścia, lecz było jeno przypomnieniem boskiego porządku, wedle którego po pracowitym dniu przychodzi zmierzch, by dać odpocząć znużonemu ciału.

Księżyc leniwie przemierzał niebo utartym szlakiem. Miałem pewność jutra, którą daje powtarzalność rzeczy codziennych i stałość praw natury. Czegóż można chcieć więcej?

Zasobna Mendera, ciesząca się pokojem i dostatkiem mieszkańców, słusznie mogła mienić się wybranką Pana. Mniejsze miasta i osady krepoków podążały śladem królewskiej ostoji, przemieniając pracowitość ludzi w radujący oko dostatek. Mnogość wznoszonych domostw oraz bogate w plony pola były świadectwem zamożności kraju, w którym od szesnastu lat nie powstała noga nieprzyjaciela.

Pan zsyłał deszcz i słońce w równej obfitości, tak że z czasem nawet wschodni, kamienisty stok góry Ałtu pokrył się zielenią. Bitewne pola z dawna porosły trawą. Groza wojennych zmagania stała się ledwie bladym wspomnieniem. Jakież śmiałość ważyłoby się w czasie tak szczęśliwym snuć

myśli najgorsze? Któż, spoglądając na bezchmurne niebo, zdołałby wypatrzeć na nim zapowiedź burzy?

Podobnie jak lenistwo rodzi ociężałość ciała, tak niezmacona szczęśliwość stępa niebezpiecznie zmysły. Tylko tym tłumaczyć mogę, że nie dostrzeżliśmy w porę rozlicznych znaków, które zwiastowały nieszczęście. Kiedy zaś przyszło, nie potrafiliśmy stawić mu czoła.

Zły to wojownik, który karmi się kruchym mięsiwem skrzydlaczy zamiast sercami leśnych berosów. W chwili próby ramiona omdlewają mu pod ciężarem miecza, a strach odbiera jasność myślenia. Tacy właśnie byliśmy. Gnuśne plemię Kambriddów, uśpione szczęśliwością, syte doczesnych dóbr. Niemal w jednej chwili wszystko zostało nam odebrane.

W migotliwym świetle lampki widzę, jak piasek wolno przesypuje się w klepsydrze. Ziarna piasku odmierzające czas – tylko tyle pozostało mi z bogactw Mendery. Blask lampki pada na skórzaną ścianę namiotu, za którą rozpościera się znany mi widok. Morze. Kolejna przeszkoda, którą przyjdzie nam pokonać w drodze do nowej krainy. Wierzę, że ostatnia i znajdziemy za nią obiecaną przez Pana ziemię.

Noc jest cicha i słyszę wyraźnie, jak fale uderzają o brzeg. Rytmiczny odgłos fal zlewa się z moimi myślami, to przyspiesza ich bieg, to zwalnia. Zanim lampka wypali się do końca, jeszcze raz przemierzę we wspomnieniach całą przebytą drogę, próbując oddzielić sprawy najważniejsze od rzeczy niewartych uwagi.

Czasu mam już niewiele.

A może to tylko piasek przesypuje się szybciej?

## Część pierwsza

*Chwal szczęśliwy początek,  
Lecz czujnie wypatruj końca,  
Bo szczęście nader często  
W nicość się obraca.*

Księga Praw, Znaki Drogi 2, 8

### 1

Słońce wynurzało się ledwie znad rozlewisk Marry, kiedy pokonałem ostatnie stopnie krętych schodów i znalazłem się w szczytowej komnacie Wieży. Strzelista, stopniowo zwężająca się ku górze, była zbudowana z ciosanych kamieni i przewyższała dwunastokrotnie najwyższe budowle królewskiego miasta Mendery. Cztery duże ościeżnice wychodziły na cztery strony świata, dając niezrównany widok na całą niemal krainę. Przesuwając się teraz niespiesznie od ościeżnicy do ościeżnicy, cieszyłem się rzadką chwilą samotności, znajdując radość w oglądaniu znajomych obrazów.

Na zachodzie Samalaki wystrzeliwały dumnie w górę, jakby nadal były granicą między ziemią a krainą zbawienia, co wmawiali nam od wieków żądni władzy kapłani. Fałszywa wiara upadła wraz ze śmiercią kapłana Kwapry, lecz masywne wierzchołki wciąż przecież jawiły się nam widomym znakiem potęgi Pana, który je stworzył.

Wybiegając wzrokiem na północ, widziałem samotny szczyt świętej góry Altu, odległy o dzień jazdy grzywaczem. Ciężył nad nią cień pakriego Kwapry i pamięć o krwawych ofiarach, za pomocą których chciał zapewnić sobie panowanie na ziemi. Lecz nawet Kwapra nie zdołał góry zbeczczyć. Właśnie tam, w górskiej wykluczni Altu, dane mi było odnaleźć razię rycerza

Melkama. Magiczne ostrze, które sławny Melkam uczynił za życia znakiem swej siły, i które w dłoniach wybrańca miało moc czynienia cudów.

Na górze Ałtu pierwszy też raz ujrzałem Amsę...

Wspomnienie Amsy wywołało we mnie dreszcz, a zaraz potem czerw uderzyła mi do głowy. Wsparłem się o ościeżnicę i wybiegłem wzrokiem w dal, gdzie niewidoczna stąd rzeka Marra płynęła szerokim rozlewiskiem, oddzielając ojczyznę Kambriddów od ziemi wrogich im Mammonitów. Widziałem żyzne pola, sady barwiące się obfitością owoców, zasobne wioski krepoków żyjących z uprawy pól i hodowli. Opierając się rękami o ścianę, przeszedłem do ościeżnicy wychodzącej na stronę wschodnią, skąd roztaczał się widok na rozległe pastwiska ciągnące się aż do bagien i rozlewisk Marry. Z ościeżnicy południowej miałem widok na osady leśnych wyrębników, nierównanych w sztuce ścinania i oporządzania drzew. Dalej, rozrzucone pośród oczek wodnych, zaczynały się siedliska wprawionych w polowaniu kniejarzy, które ciągnęły się aż do borów Hitarry pełnych zwierza i leśnych owoców.

Jak okiem sięgnąć, widziałem obraz krainy opływającej w dostatek i mieszkańców cieszących się zasobnością domostw. Widome świadectwa opieki Stworzyciela, które winny radować mi serce. Wspomnienie Amsy przesłaniało wszystko głębokim cieniem...

O niej jednej myślałem, kiedy stąpając ciężko po krętych schodach, skierowałem się w dół Wieży. Medra czekała na mnie jak zawsze za progiem ościeżni: powitała mnie radosnym ujadaniem i jęła lizać mi dłoń. Pogłaskałem ją po głowie. Przypominała swą babkę Letię, lecz była od niej roślejsza. Poza dzikością spojrzenia, niewiele zachowała z cech dzikich burkasów, od których się wywodziła. Postępowała za mną czujnie, gdy zszedłszy na pierwsze piętro skierowałem się do królewskiego skrzydła pałacu. Zamierzałem, nie budząc Larsenii, przejść przez jej sypialnię do swej komnaty, by przebrać się w wojskowy kaftan i dołączyć do żołnierzy ćwiczących na podwórku. Merda przywarowała przed progiem, pomna ostrych słów, którymi Larsenia witała każde jej pojawienie się w królewskich komnatach.

Otworzyłem bezszelestnie ościeżnię i wszedłem do sypialni Larsenii. Spała jeszcze, oddychając miarowo i spokojnie. Poruszałem się prawie bezszelestnie, lecz mimo to zbudziła się, jakby wyczuła moją obecność. Nim zdążyła coś powiedzieć, z kołyski ustawionej przy łóżu Larsenii dał się słyszeć płacz Jona.

– Pewnie głodny – powiedziała na wpół sennie. Podniosła się, wzięła Jona na ręce i przysiadłszy z nim na skraju łóża, rozwiązała górę sukni uwalniając piersi.

Skończyła lat dwadzieścia cztery, lecz w przeciwieństwie do wielu ródek ciało miała nadal smukłe i dziewczęce. Poczuli na sobie mój wzrok, bo pokryła się rumieńcem. Odgarniając włosy z policzka, uśmiechnęła się nieśmiało. W takich chwilach przypominała mi Amsę bardziej niż zazwyczaj. Odwróciłem się szybko, by wycofać się do swej komnaty.

– Dokąd ci tak śpieszno? – posłyszałem za plecami. Zatrzymałem się w pół kroku.

– Wybacz, Larsenio, nie chciałem cię zbudzić. Zamierzałem się przebrać i dołączyć do batangów, nim zakończą poranne zajęcia fechtunku. Zanedbałem się ostatnio w wojskowych ćwiczeniach.

Przygryzła wargę.

– Rzadko mnie odwiedzasz. Siódmy dzień mija, odkąd dzieliłeś ze mną łóże.

– Masz słuszość, Larsenio. Lecz cóż ci mogę powiedzieć? Dobry król to zazwyczaj kiepski miłośnik. Dzielę czas między sprawy królestwa i rodzinę, choć, przyznaję, nie zawsze sprawiedliwie.

Skończyła karmienie i ułożyła Jona ostrożnie w kołysce. Podciągnęła górę sukni, zakrywając na powrót ramiona i piersi.

– Jakże to? – powiedziała zdobywając się na uśmiech. – Przecież to ciebie nazywają sprawiedliwym.

Udałem, że nie słyszę jej kpiącego tonu.

– Jeżeli zawiniłem, postaram ci się to wynagrodzić – zacząłem ostrożnie. Przerwała mi gniewnie:

– Śląc mi prezenty? Prawda, obsypujesz mnie podarkami, lecz cóż mi po nich? Częściej widuję posłańców anizeli samego darczyńcę!

Stanąłem nad kołyską. Nasyciwszy głód, Jon spał spokojnie, zaciskając małe piąstki. Uśmiechał się przez sen. Naraz ogarnęła mnie radość, jaką daje znajomość rzeczy codziennych i wiara w ich niezmiennność. Położyłem dłoń na ramieniu Larsenii.

– Wiesz, co do ciebie czuję. Skończyłem czterdzieści pięć lat i wiele przeżyłem. Znałem przed tobą inne dziewczki, ale żadnej nie pojąłem za żonę.

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Prawda – rzekła powoli. – Choć i prawdą jest, że żadna inna nie dała ci potomka.

Znieruchomiałem, gorączkowo szukając w myślach odpowiedzi.

Przywołałem na twarz uśmiech i powiedziałem:

– Żadna nie była podobna do ciebie.

Wstała z łoża i stanęła na wprost mnie. Widziałem jej jasnoniebieskie oczy, rozchylone usta i lekko spłonięte policzki.

– A ja? Do kogo ja jestem podobna? – zapytała.

– Nie rozumiem – wychrypiałem przez ściśnięte gardło.

Odchyliła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– Poślubiłeś mnie dla mnie samej czy dla mego podobieństwa? Bądź zapytam inaczej: kochasz mnie czy raczej wspomnienie, które we mnie widzisz?

Czerw uderzyła mi do głowy. Larsenia była wnuczką ulapa Sigira i wraz z wiedzą lekarską odziedziczyła po dziadku przymioty umysłu. Zbyt była bystra, by dać się zwieść zdawkową odpowiedzią.

– Wiesz, że ciebie jedną kocham – odparłem, starając się mówić pewnie. – Cóż za głupstwa zaprzatają ci myśli?

– Ludzie mówią, że ożeniłeś się ze mną, bo jestem do niej podobna – wyszeptwała. Raptem straciła całą wojowniczość. Zgarbiła się, kąciki ust drgały jej niebezpiecznie. Nie namyślając się wiele, przytuliłem ją. Przywarła do mnie mocno.

– Tylko ciebie kocham – zapewniłem – i z miłości wziąłem cię za żonę.  
– Przycisnęła wargi do mego ucha.

– Nic już do niej nie czujesz? – szepnęła. – Przysięgnij, to uwierzę.

Szczęśliwie nie widziała wyrazu mej twarzy, gdy patrząc ponad jej głowę, powiedziałem stanowczo:

– Uwierz mi, Larsenio, to już przeszłość. Przysięgam.

Wtuliła się we mnie bez słowa. Jęknęła cicho, czując, jak wzbiera we mnie męskość. Oplotła mnie ramionami. W tej właśnie chwili rozległ się płacz Jona. Larsenia zastygła na moment, niepewna, którego głosu posłuchać. Wreszcie niechętnie odsunęła się ode mnie i uśmiechnęła się przeprasząco.

– Pewnie się zmoczył i dlatego płacze – rzekła.

– Pewnie się zmoczył – powtórzyłem.

Wyjęła Jona z kołyski, położyła delikatnie na łożu, wprawnymi ruchami rozwinęła okrywający go pled. Zdawała się teraz zupełnie pochłonięta nowym zajęciem. Spojrzała na mnie przelotnie.

– Muszę go obmyć i przebrać – zapowiedziała. – To zajęcie dla bielki. Idź do swoich batangów, dosyć już czasu zmitrężyłeś.

Wymknąłem się cicho, nie przebrawszy się nawet w wojskowy kaftan. Medra spojrzała na mnie zdziwiona, kiedy przebiegłem obok. Ruszyła za mną wolno, przezornie zachowując odległość. Zbiegłem po kamiennych schodach, szybkim krokiem skierowałem się pałacowym korytarzem do wyjścia na dziedziniec. W głowie miałem kłębowisko myśli.

Słusznie napisano w Księdze Praw, że człowiek sam sobie jest największym wrogiem. W chwilach takich jak ta nienawidziłem się za słabość, która od początku kazała mi w Larsenii widzieć Amsę. Czy Larsenię kochałem? Kochałem ją miłością, jaką nie dane mi było obdarzyć Amsę, a jednocześnie obwiniałem ją o to, że Amsą nie jest. Rozdarty między dwiema skrajnościami, brnąłem od kłamstwa do kłamstwa, chwiejność uczuć maskując obfitością prezentów.

Znów rozbrzmiały mi w uszach słowa Larsenii. Gromiłem się w duchu za niedostatek czułości, lecz jednocześnie miałem Larsenii za złe, że głośno

wypowiedziała prawdy, które sam przed sobą pragnąłem ukryć. Targał mną gniew, bo z lęku przed jej dociekliwością wymówiłem słowa kłamliwej przysięgi, których nie mogłem już cofnąć. Zapałem się Amsy. Czułem się niemal jak wtedy, gdy skazałem Amsę na wygnanie, co przypłaciła życiem. Dziś po raz drugi wydałem na nią wyrok zapomnienia i ciężaru tej myśli nic nie mogło złagodzić.

W takim stanie ducha wypadłem na pałacowy dziedziniec. Pusty był jeszcze, tylko kilku wybrańców Kręgu zmierzało ku nowo wzniesionemu budynkowi z kamienia, w którym od niedawna Krąg zbierał się na naradę. Doszedłem do murów i schodkami zbiegłem na dolny podwórzec, gdzie batangowie zazwyczaj odbywali część wojskowych ćwiczeń.

Już z daleka dobiegł mnie szcęk mieczy i bojowe okrzyki. Zatrzymałem się na skraju podwórca i ukryty w cieniu przyglądałem się żołnierskim zajęciom. Ćwiczyła chorągiew bataranga Hidrama. Dwanaście tuzinów żołnierzy, odzianych tylko w szerokie nargoty, sięgające do kolan, i płócienne miki zamiast skórzanych kaftanów, prowadziło pozorowaną walkę na miecze. Dobrani w pary podług wzrostu i umiejętności, nacierali na siebie ostrzami, trzymając tarcze dla osłony. Hidram coś zakrzyknął; na ten znak wojownicy złożyli miecze i tarcze na ziemi. Stanąwszy naprzeciw siebie, ciało mając teraz za cały oręż, zaczęli się zmagać w bojowych zapasach.

Wyszedłem z ukrycia i zbliżyłem się do ćwiczących. Hidram dojrzał mnie pierwszy. Gromkim głosem wydał komendę. Posłuszni rozkazowi bataranga, żołnierze przerwali walkę i zwrócili się w moją stronę. Po twarzach i spoconych ciałach poznałem, że dowódca nie szczędził im dzisiaj wysiłku.

Hidram uderzył mieczem o tarczę w żołnierskim pozdrowieniu i skłonił przede mną głowę.

– Witaj, panie. Zaszczyt to dla moich żołnierzy, że sam warong nawiedza ich w dzień powszednich ćwiczeń.

Hidram miał blisko czterdzieści lat, był szeroki w ramionach, lecz nie wyróżniał się wysokim wzrostem. Wydawał się niezdarny i ciężki przez pokaźny brzuch, który trząsał mu się rytmicznie przy każdym kroku. Na placu

boju Hidram jednak poruszał się zadziwiająco szybko, a w walce na ręce i nogi jeden tylko batarang Jardon mógł się z nim równać.

Schował teraz miecz do pochwy i powiedział, wskazując na żołnierzy:

– Jeszcze przed południem chcemy wyruszyć pod górę Ałtu. Będziemy wprawiać się w walce w terenie. Mam pod komendą kilku nowych batangów i ze dwa tygodnie zejda, nim będę pewny ich przydatności.

– Żałuję, że trafiłem na koniec zajęć – burknąłem rozdrażniony.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Jeżeli masz życzenie, każę im wrócić do ćwiczeń.

– Źle mnie zrozumiałeś. Nie przyszedłem się przyglądać, lecz samemu walczyć.

Wyciągnąłem rękę. Jeden z żołnierzy podbiegł, by podać mi miecz.

Hidram najwidoczniej odczytał na mej twarzy wzburzenie, które nie opuszczało mnie od czasu rozmowy z Larsenią, bo szybko powiedział:

– Wiesz, panie, że w walce na miecze nikt ci nie dorówna. Mam u siebie batanga tak wprawnego we władaniu kijem, że w całym hufcu nie znalazł godnego sobie przeciwnika. Sprawisz mu zaszczyt, stając z nim w szranki.

Hidram słusznie uznał, że gniew nie jest najlepszym doradcą żołnierza. Po namyśle oddałem miecz i wybrałem solidny kij, jakiego używają batangowie do obezwładniania przeciwnika. Długi na dobre dwa metry, był zrobiony z drzewa banu, równo ociosany, gruby na cztery palce. Pochwyciłem krzepko kij i trzymając za jeden koniec, wywinąłem nim młynka. Był ciężki, dobrze wyważony. Spojrzałem wyczekująco na Hidrama.

– Mam walczyć z powietrzem?

Na znak Hidrama z drugiego szeregu wystąpił młody żołnierz o głowę wyższy od swych towarzyszy. Na pierwszy rzut oka zdawać się mógł szczupłej postury, lecz kiedy się poruszał, pod skórą napinały się twarde, dobrze rozwinięte mięśnie. Długie czarne włosy miał na modłę wojowników splecione w warkocz, który na czas wojennych ćwiczeń zwijał w tyle głowy, by mu nie przeszkadzał. Stał cztery kroki przede mną i skłonił się niepewnie.

– Pamiętaj, na placu boju jesteśmy sobie równi – zaznaczyłem patrząc mu prosto w oczy.

Ujął kij mocno, lecz trzymał go daleko przed sobą, jakby zamierzał ograniczyć się do obrony. Bez ostrzeżenia przypuściłem atak, mierząc prosto w brzuch. Z łatwością odbił pchnięcie, ale czekał, nie kwapiąc się z atakiem. Natarłem ponownie, tym razem biorąc za cel lewe kolano żołnierza. Zbił cios tak lekko, jak gdyby miał przeciw sobie niewprawnego młodzika. Dalej stał nieporuszony, mierząc mnie niepewnym spojrzeniem. To mnie rozeźliło. Dałem krok do przodu, markując uderzenie w splot słoneczny, w ostatniej chwili zszedłem w bok i z półobrotu ciąłem go w kość piszczelową. Zawył z bólu, wykrzywił twarz w grymasie, ale zamiast rzucić się na mnie, cofnął się dwa kroki. Tego było mi już za wiele. Trzymając kij w jednym ręku, zamarkowałem cios w głowę. W ostatniej chwili przeniósłem broń ponad celem, chwyciłem ją w obie ręce i skręcając ciało w lewo, uderzyłem go z całej siły w brzuch. Zgiął się w pół jak nadłamane drzewo. Jednym pociągnięciem kija zerwałem mu z szyi wojskową odznakę i pozwoliłem, by upadła na ziemię.

Tej hańby nie mógł już zdzierżyć. Zawył jak pogański Mammonita, wybił się do skoku i ciął od góry, mierząc prosto w głowę. W ostatniej chwili odchyliłem się w lewo – kij o włos minął moje ramię. Broniąc się przed zaciekłym atakiem, zbiłem uderzenie w kolano i z trudem odparowałem następny cios, jeszcze silniejszy niż poprzedni. Kij o mało nie wypadł mi z rąk; zrozumiałem, że przy kolejnym ataku mogę kija nie utrzymać. Kiedy natarł na mnie ponownie, zrobiłem unik i kij przeciął powietrze. Przysiadłem błyskawicznie, zawinąłem kijem i uderzyłem batanga w zgięcie pod kolanami. Zwalił się plecami na ziemię. Poderwałem się na nogi, jeszcze się prostując, wyprowadziłem uderzenie zza głowy i opuściłem kij, mierząc w odsłoniętą krtań żołnierza. Zatrzymałem cios w ostatniej chwili, przyłożyłem mu kij do szyi i nacisnąłem. Uderzył ręką o ziemię, uznając swoją przegraną.

Pomogłem mu wstać. Minę miał nietęgą, jakby nie wiedział, czy bardziej wstydzić się przegranej, czy lękać się kary za zuchwały atak.

– Jak się nazywasz? – zapytałem miękko.

– Rymen – odrzekł. Po tonie głosu poznałem, że bardziej boleje nad przegraną, niż boi się reprimendy.

– Kto cię szkolił, Rymenie?

Podniósł wojskową odznakę, otrzepał ją z piasku i związawszy przerwany rzemyk, zawiesił ją sobie na szyi.

– Batarang Hidram, panie.

– Przynosisz chlubę nauczycielowi. – Odwróciłem się do Hidrama. – Wybrałeś mi wymagającego przeciwnika. Rymen dobrze się spisał.

Pożegnałem się i spiesznie odszedłem. Pilno mi było uciec z miejsca, które stało się świadkiem mej porażki. Choć bowiem w pojedynku z Rymenem odniosłem zwycięstwo, niepotrzebnie dopuściłem, by gniew wziął we mnie górę nad rozumem. Walka uwolniła mnie od nadmiaru agresji, nie pomogła mi jednak w odzyskaniu spokoju.

W takim to stanie ducha kroczyłem ociężale wzdłuż pałacowych murów, kierując się bez celu ku zachodniemu krańcowi dziedzińca. Wtem z góry dobiegło mnie wołanie:

– Gładkość go panie załatwił.

Zadarłem głowę i ujrzałem Dardana siedzącego okrakiem na zwieńczeniu muru. Mimo woli uśmiechnąłem się do siebie. Natura poskąpiła Dardanowi wzrostu, dając mu w zamian brzuch ponad miarę i szeroki zadek, które czyniły go podobnym do zwężonego u góry dzbana. Z włosów na głowie pozostały mu jedynie mizerne kosmyki, które zaplatał w cieniutkie warkocze i każdy barwił na osobny kolor. Wydatne usta zdawały się wiecznie uśmiechnięte, a małe oczka nad zadartym nosem przydawały twarzy wyraz chytrego zdziwienia. Grube i mięsiste uszy odstawały mu na boki jak dwa przylepione niewprawną ręką naleśniki i poruszały się faliście przy każdym jego kroku. Całym swym wyglądem wzbudzał wesołość i prowokował do żartów. Taka też była rola Dardana – był błaznem w królewskim pałacu.

Obmyśliwszy najwyraźniej kolejną sztuczkę, udawał teraz strażnika pałacowych murów. Krocząc z pewną siebie miną, wypinając potężne

brzuszysko, skryte pod szerokim czerwonym kaftanem, łypał groźnie okiem i pomrukiwał wojowniczo. Spojrzał na mnie z góry.

– Gracko się, panie, spisałeś – powtórzył. Powiedział to z taką miną, jakby sam dosłużył się rangi bataranga w królewskim hufcu. Zaśmiałem się serdecznie.

– A co ty możesz wiedzieć o wojaczce? – zakrzyknąłem.

– Wiem tyle, ile trzeba.

– To znaczy?

– Wiem, że lepiej obić komuś grzbiet, niż dać go sobie obić.

– Prawda godna wojownika. Jesteś na dobrej drodze, Dardanie. Jeśli zejdziesz na dół, chętnie udzielę ci pierwszej lekcji.

Nie namyślając się wiele, chwycił się pnączy porastających mur i zsunął się na ziemię ze zręcznością, o jaką nikt by go nie podejrzewał. Starannie otrzepał czerwony kaftan i stanął dwa kroki ode mnie.

– Bez urazy, panie, ale kogo innego wolałbym obrać sobie na pierwszego nauczyciela – zaczął i odsunął się jeszcze o krok.

Zrobiłem zdziwioną minę.

– Wątpisz w moje umiejętności?

– Przeciwnie. Wątpię za to w wytrzymałość mojego grzbietu. Kij może by jeszcze zdierzył, ale ciężaru twoich grzechów mógłby już nie unieść.

Spojrzałem na niego uważnie. W swoich błazeństwach nie raz zaskakiwał mnie dziwacznymi sądami, których znaczenie tylko jemu zdawało się jasne.

– Nie pojmuję twej myśli – mruknąłem.

– Widziałem, jakieś obił tego nieszczęśnika. Okładałeś kijem jego, a mnie się zdawało, że chciałeś zadać karę samemu sobie.

Ściągnąłem brwi.

– Zmierzasz do celu okrężną drogą. Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

– Człowiek sam sobie jest największym wrogiem. Nie mogąc ukarać siebie, ukarałeś biednego Rymena.

Przeraziłem się, słysząc, że Dardan głośno wypowiada me ukryte myśli.

– Bębniysz dzisiaj fałszywie jak dziurawy tamarak – burknąłem. –  
Powinienem kazać cię wybatożyć.

Poklepał się po brzuchu.

– Chętnie poddam się tej kuracji, choć z racji twego urzędu winienem  
chyba ustąpić ci miejsca. Należy ci się przywilej pierwszeństwa.

Po tych słowach skłonił się nisko, aż połami kaftana zamiótł po ziemi.  
Zaśmiał się piskliwie. Ciężar spadł mi z serca. Był tylko błaznem skorym do  
dowcipów i myliłem się, widząc w nim przez chwilę coś więcej.

– Na razie nie musisz myśleć o wojskowej karierze – powiedziałem,  
siłąc się na surowy ton. – Dopóki umiesz mnie zabawić, dopóty możesz być  
pewny miejsca w pałacu. – Uśmiechnąłem się. – Szczęśliwie dla ciebie, twoje  
błazeństwa nie przestają mnie śmieszyć.

– Tak jak ty nie potrafisz przestać o niej myśleć.

Uśmiech zniknął mi na twarzy. Przyglądałem się Dardanowi, niepewny,  
czy dobrze usłyszałem.

– O czym mówisz?

– O miłości i pamięci.

Zacisnąłem dłoń na rękojeści rażca.

– Miarkuj się, błaznie.

Podskoczył uciesznie, zatrzepotał energicznie rękami. Naraz z  
szerokich rękawów kaftana wypadły mu dwa małe skrzydłacze i wzbiły się w  
górze. Zatoczyły krąg nad głową Dardana, po czym wzleciały nad murem i  
zniknęły po drugiej stronie.

– Jakoś rzekł, panie, jestem tylko błaznem – powiedział śpiewnie. – A  
kto błazna traktuje poważnie? Kiedy człowiekowi zbierają się gazy po sutym  
posiłku, ratuje się, puszczając w ukryciu wiatry. Do tego właśnie jestem ci  
potrzebny. Gdy przyjdzie ci ochota puścić bąka, musisz mieć koło siebie  
błazna, żeby móc na niego zrzucić winę.

Usiadł na ziemi i oparty plecami o mur, założył nogę na nogę. Podobny  
teraz do olbrzymiego trzmiela, począł kiwać się rytmicznie.

– Jestem ci zatem potrzebny – ciągnął – byś bez uszczerbku dla monarszego splendoru mógł dotknąć rzeczy nieczystych lub się od nich uchronić. Słusznie mówisz, że nie ma błazna bez pana, bo ten zapewnia mu wikt i opierunek. Lecz zauważ, że pan bez błazna żywot ma krótki, nie może bowiem sprostać dwóm rolom jednocześnie.

Zapewne trudy pojedynku i poranne emocje sprawiły, że ogarnęło mnie zmęczenie. Przysiadłem na ziemi obok Dardana.

– Co wiesz o tamtej historii? – zapytałem, patrząc przed siebie.

– Wiem, że ją miłowałeś, choć bez wzajemności. Wiem, że odeszła z kimś, kogo uważałeś za przyjaciela.

Pokręciłem powoli głową.

– Miszra był mi prawdziwie przyjacielem. Kochał Amsę i o nią zabiegał, ale nic nie wiedział o zamiarach, jakie miałem względem niej. – Ściszyłem głos. – Nie wiesz wszystkiego. Amsa nie odeszła z Miszrą z własnej woli. W porywie gniewu, powodowany urażoną ambicją, skazałem ich na wygnanie. W kilka dni potem zginęli z rąk Mammonitów.

Zapadła cisza. Z zewnętrznego dziedzińca dobiegały głosy przekupniów i nawoływania krepoków pędzących zwierzęta na targowisko. Przez moment miałem wrażenie, że czas cofnął się o szesnaście lat. Wystarczy, że wybiegnę za mury Mendery i pójdę do domu Miszry, a znowu zobaczę Amsę, jak krząta się przy wieczerzy.

Do rzeczywistości przywrócił mnie głos Dardana:

– Rozdrapywanie ran rzadko kiedy przynosi ulgę. Dziś sam już dobrze nie wiesz, czy cierpisz z powodu odtrąconej miłości, czy na skutek wyrzutów sumienia. Jeżeli warto brać naukę z przeszłości, to głównie po to, by mądrze układać przyszłość.

Nieoczekiwanie poderwał się z ziemi. Zwrócił się ku pałacowi i pociągnął kilka razy nosem. Spojrzałem w tamtą stronę. Wiatr przywiewał zapach mięsiwa duszonego na południową strawę.

– Skoro mowa o cierpieniu, musisz, panie, wiedzieć, że od rana nic jeszcze nie jadłem. Mój towarzysz coraz głośniejszymi głosami przypomina mi, że srodze go

zaniedbuję. – Dardan pogładził się po brzuchu. – Ty masz na głowie sprawy królestwa, ja zaś w swoim kałdunie noszę dobry humor. Skoro od mego dowcipu zależy samopoczucie waronga, to w istocie na mnie spoczywa trud rządzenia krajem. Pozwól więc, że się oddalę i w trosce o dobro królestwa pofolguję memu cierpiącemu żołądkowi.

Złożył mi lekki ukłon i oddaliwszy się pospiesznie, zniknął w ościeżni prowadzącej do pałacowych kuchni. Stałem jeszcze przez chwilę, powtarzając w myślach treść rozmowy z Dardanem. Potem skierowałem się pałacowym dziedzińcem do królewskiego skrzydła. Pilno mi było zobaczyć Jona i Larsenię.

Ranek dnia następnego zaczął się nieporównanie lepiej niż poprzedni. Larsenia nie szczędziła mi czułości po ostatniej nocy, szczęśliwa z odmiany, jaka we mnie zaszła. Kiedy powróciłem z porannych ćwiczeń, była już na nogach i krzątała się przy kołysce Jona. Wzięła go w ramiona i zbliżyła się do mnie tanecznym krokiem.

– Coraz wyraźniej widać, jak jest do ciebie podobny – powiedziała, podnosząc chłopca. Był już nakarmiony i przewinięty; przymykając sennie powieki, wtulał się w ciepły pled.

Kiedy podszedłem bliżej, otworzył oczy i zaczął mi się uważnie przyglądać. Cerę miał śniadą jak ja, lecz po matce odziedziczył jasnoniebieskie zrenice. Przeciągnąłem delikatnie palcem po jego aksamitnym policzku. Wyciągnął rączkę, pochwycił mój palec i ścisnął go nadspodziewanie mocno.

– Silny jest! – zawołałem uradowany. – Jeszcze trochę i trzeba będzie mu sprawić pierwszy razieć do zabawy!

Larsenia zakręciła się na pięcie i powiedziała:

– Jeśli Stworzyciel pozwoli, a warong Mikor wykaże dość zapału, postaram się dać Jonowi dla towarzystwa kilku braciszków.

Ściągnąłem brwi udając zachmurzonego.

– Nie pomyślałaś, że chętnie bym powitał choć jedną dziewczynkę? Byłoby komu przejąć po matce wdzięk i urodę.

Uśmiechnęła się, wyraźnie rada z komplementu.

– Cieszę się, że strawa podawana codziennie wciąż ci smakuje – odparła.

– Chyba nawet coraz bardziej. Już mi się zdaje, że jestem syty, a ledwo wstanę od stołu, głód znowu się we mnie odzywa. Ot, choćby teraz, chętnie uszczknąłbym jakiś kąsek.

Wywinęła mi się zgrabnie i złożyła Jona w kołysce. Stała przy łóżu i wpatrując się we mnie z przekorną miną, powiedziała:

– Masz nie kąsek jeden, ale cały półmisek. Kazałam podać ci śniadanie w twojej komnacie.

Kończyłem właśnie jeść, kiedy rozległo się pukanie do ościeżni. Medra czujnie podniosła łeb na swym legowisku w kącie komnaty; wciągnęła w nozdrza powietrze, położyła się z powrotem. W chwilę potem w progu pojawiła się Larsenia prowadząc ze sobą Tetora.

Przed szesnastu laty Tetor był jednym z ostatnich dworzan. Do jego obowiązków należało między innymi sprawowanie nadzoru nad czystością królewskich komnat. Kiedy po śmierci kapłana Kwapry poprosiłem ulapę Sigira, by podjął się szerzenia nauki pisania i czytania, czego Kwapra wcześniej zakazywał, Tetor został jednym z pierwszych uczniów Sigira. Wkrótce też okazał się najpojętniejszym uczniem. Po sześciu miesiącach studiowania dorównał swemu mistrzowi, a w rok później spisał wszystkie reguły języka w „Gramatyce Kambriddów”, która dała początek królewskiemu księgozbiorowi. Z czasem Tetor wykształcił tuzin zdolnych kopistów, sam zaś awansował do rangi ochmistrza dworu, by wreszcie przed dwoma laty zostać moim głównym doradcą.

Ceniłem Tetora za opanowanie i wiedzę, które pozwalały mu podejmować decyzje szybko i trafnie. Darzyłem go zaufaniem, choć, przyznaję, stroniłem nieco od niego z powodu nadmiernej surowości charakteru i oblicza. Równy mi wzrostem, zdawał się jeszcze wyższy z powodu przeraźliwej chudości. Włosy miał czarne jak górski kirh, nos zakrzywiony, skórę bladą i skrzekliwy głos. Drgnąłem mimo woli, kiedy się teraz do mnie odezwał:

– Wybacz, panie, me najście. Uznałem, że sprawy Kręgu wymagają dziś twojej obecności.

Obrzuciłem go baczny spojrzeniem. Krąg był miejscem, gdzie spotykali się wybrańcy, by mieć udział w rządzeniu krajem. Cztery razy do roku odbywały się tygodniowe debaty, na które zjeżdżali wybrani posłowie z całego królestwa – w których również i ja uczestniczyłem, z racji monarszego urzędu przewodnicząc obradom. Dodatkowo przez cały rok posłowie mogli

zbierać się w sprawach pomniejszego znaczenia i podejmować decyzje nie wymagające mej aprobaty. Zdziwiłem się tedy słysząc, że Tetor uznał za konieczne, żebym zjawił się w Kręgu w czasie zwykłych obrad.

– Cóż się wydarzyło? – spytałem. Podziękowałem skinieniem głowy Larsenii, która przynaglona płaczem Jona pospieszyła do sypialni.

Tetor odrzekł krótko:

– Wybrańcy sądzą sprawę młodego wieśniaka, który od dwóch miesięcy unika służby wojskowej.

Spojrzałem zdziwiony.

– W czymże więc trudność? Księga Praw wyraźnie stanowi, że krepok zdolny do służby może od niej odstąpić pod warunkiem, że przez pięć lat oddawać będzie dziesiątą część plonów na rzecz królewskiego hufca.

– Trudność w tym, panie, że młodzikowi nie uśmiecha się też praca na roli.

Rozłożyłem ręce.

– Tetorze, prawo jest jednakie dla wszystkich. Jeśli tak się rzeczy mają, wybrańcy winni zasądzić karę uwięzienia, by przykład młodzika nie stał się dla innych zachętą. W czym tu moja rola?

– Nie zaprzętałbym ci głowy, panie, gdyby sprawa była tak prosta. Kiedy wybrańcy zgodnie z zapisem w Księdze Praw zarządzili głosowanie nad losem młodzika, okazało się, że głosy rozłożyły się równo. Powtórzyli głosowanie dwukrotnie, lecz za każdym razem na dwadzieścia osiem głosów za karą tyleż samo było jej przeciwnych. Potrzeba obecności waronga, by swoim głosem mógł rzecz rozsądzić.

– Niebawale! – zawołałem. – Jak to możliwe, że w sprawie oczywistej mogą być tak różne poglądy?

Tetor zasępił się.

– Rzekłbym, że sprawa nie jest tak oczywista, jak się wydaje. Najlepiej ocenisz wszystko na miejscu.

– Nie traćmy więc czasu. – Podniosłem się z siedlika, przykazując Medrze, by została w komnacie.

Krąg mieścił się na obrzeżach wewnętrznego dziedzińca, przy wschodnim skrzydle pałacu, w nowo wzniesionym owalnym budynku z kamienia, który zastąpił drewnianą bietę i mógł pomieścić nawet dwanaście tuzinów osób. Na zewnątrz oraz wewnątrz był kształtu okrągłego, jako że zgodnie z regułą Kręgu zasiadający w nim wybrańcy mieli równe miejsca na sali obrad i jednakowe uprawnienia. W czasie tygodniowych narad, kiedy do Mendery ściągano dziesięć tuzinów wybrańców z najodleglejszych stron kraju, olbrzymia sala wypełniała się po brzegi. Na ustawionych w krąg drewnianych ławach zasiadali obok siebie w zgodzie zwykli żołnierze oraz ich dowódcy, dworzanie różnej rangi i funkcji, poślednicy, mieszkańcy leśnych ostoj, krepoki z wiosek, pałacowi dostojnicy, warzelnicy, kupcy, orężnicy oraz kopiści ksiąg.

Znajdowałem się jeszcze dobre dziesięć kroków od budynku, kiedy usłyszałem hałas podniesionych głosów. Ledwo przekroczyłem próg Kręgu i w towarzystwie Tetora wszedłem na salę, zastałem widok rzadki dla tego miejsca. Wybrańcy podzieleni na dwie grupy spierali się energicznie, głośno wykrzykując swe racje i żywo gestykułując. W ferworze kłótni nie zauważyli mego przyścia i nadal wiedli hałaśliwy spór.

Nie od razu spostrzegłem sprawcę całego zamieszania. Pilnowany przez dwóch batangów, stał przy pierwszym rzędzie ław i zdawał się niezbyt przejęty rozgardiaszem, jaki wywołał. Choć twarz miał młodzika, był słusznego wzrostu i wyróżniał się mocarną posturą. Trzymał się prosto i patrzył dumnie przed siebie jak człowiek przywykły do wydawania rozkazów. Włosy miał jasne jak większość krepoków, lecz zamiast nosić je krótko, zapuścił je i zaplatał w długi warkocz na żołnierską modłę.

Pierwszy spostrzegł moją obecność. Skłonił się, lekko tylko pochylając głowę i przyglądał mi się ciekawie. Pilnujący go batangowie również mnie zauważyli. Stanęli na baczność i powitali mnie uderzając mieczami o tarcze. Dopiero teraz wybrańcy zwrócili się w moją stronę. Zaprzestali kłótni, ucichli, przysiedli na ławach.

Zająłem swoje miejsce. Poczekalem, aż Tetor usiądzie obok mnie i nie tracąc czasu, odezwałem się ostro do młodzika:

– Ile masz lat?

– Skończyłem szesnaście, panie – odparł bez wahania. Głos miał mocny i nie wyczułem w nim lęku.

Spojrzałem na niego surowo.

– Księga Praw głosi – powiedziałem – że mąż przeznaczony do służby w wojsku winien dla dobra ojczyzny poddać się zaszczytnemu obowiązkowi. Widzę, żeś zdrowy i krzepki. Czemu uciekasz przed powinnością, która dla innych krepoków jest powodem do chluby?

Młodzik potrząsnął długim warkoczem i odparł:

– Nie wypieram się tego zaszczytu, lecz służby w hufcu królewskim nie podejmę. Nie może słuchać rozkazów ktoś, kto sam władny jest je wydawać.

Zdumiał mnie buńczuczny ton młodzika. Lecz bardziej jeszcze zdziwił mnie składny tok jego wypowiedzi. Nie mówił jak wieśniak z krepki, lecz jak biegły kopista obcujący na co dzień z księgami.

– Dziwne rzeczy opowiadasz – odparłem zbierając myśli. – Jakież to prawo daje krepokowi moc wydawania rozkazów?

Zawtórował mi gwar oburzonych głosów. Delegaci z miejskich ostoi, wspólnie z żołnierzami i dostojnikami dworu, dawali wyraz niezadowoleniu z zuchwałości młodzika. Dla odmiany poślednicy i mieszkańcy krepki przyjmowali słowa krepoka z życzliwością. Młodzik nie przejął się wrzawą.

– Jestem wojownikiem, nie krepokiem – powiedział dobitnie. – Nie mówię tego przez zuchwałość, tylko za przykładem mego imiennika.

– Jakie nosisz imię?

– Melkam, panie.

Na moment zaległa cisza. Zaraz potem powstał nieopisany tumult. Nawet poślednicy i krepoki wołali teraz jednym chórem z innymi:

– Pomieszało mu się w głowie!

– Żarty sobie z nas stroi!

– Obraża to dla waronga i wybrańców Kręgu!

– Wybatożyć zuchwalca! Posłać do więzienia!

Kiedy wstałem, krzyki ucichły. Pohamowując gniew, zacząłem najspokojniej jak potrafiłem:

– Żaden śmiertelnik nie odważył się jeszcze używać imienia Melkama. Swoim zuchwalstwem sam wydajesz na siebie wyrok.

Młodzik wcale się nie stropił.

– Ciało mam śmiertelne jako każdy – odparował – ale śmierci się nie boję. Kto raz umarł i do życia powrócił, temu śmierć mniej straszna.

Poczułem mętlik w głowie. Spojrzałem na Tetora. Z jego miny poznałem, że nie mogę oczekiwać po nim rady.

– Język masz pokrętny – odparłem ostro młodzikowi – lecz mówiąc zagadkami niczego nie zyskasz.

– Co dla innych jest zagadką, dla ciebie, panie, powinno być wiadome. Wszak tobie właśnie zawdzięczam odnowienie przymierza z życiem.

– Nie pojmuję, o czym opowiadasz – przyznałem z rezygnacją.

– Matka przed śmiercią wyznała mi w tajemnicy, że życie zawdzięczam warongowi. Martwy już byłem, powiedziała, kiedy warong Mikor cudowną wodą przywrócił mnie do życia.

Zachwiałem się. Teton chwycił mnie za ramię i przytrzymał. Kręciło mi się w głowie, przed oczami latały mi ciemne plamy. Równocześnie jednak odżył mi w pamięci obraz sprzed szesnastu lat. Widziałem wszystko jak w olbrzymim zwierciadle: trzymam oto w dłoni niosielnik z wodą życia, którą podarował mi Stworzyciel na szczycie Samalaków i polewam nią głowę dziecka, nadal nie do końca pewny słuszności wyboru. Wiem, że uratować mogę tylko jedno istnienie, zatem z każdą wylaną kroplą oddala się nadzieja na przywrócenie do życia Amsy, Miszry czy Asztera. Z drugiej strony mam również świadomość tego, że oboje stracili więcej niż życie i że tamtej straty cudowna woda nie naprawi.

– Prawdę mówi – odezwałem się głośno. – Wracaliśmy po zwycięskiej bitwie nad Mammonitami, kiedy spotkaliśmy bielkę z martwym niemowlęciem. Żaliła się, że Mammonici całą wieś wybili i tylko on jej został.

Prawda też, że Melkam ma na imię. Bielka wyznała, że jej mąż służył w krepockiej chorągwi i takie imię sobie dla syna w żołnierskiej fantazji wymarzył.

– Jeśli nawet nie kłamca, to krętacz! – zawołał ktoś tuż za mną.

– Biedakowi pomieszało się w głowie! – odezwał się inny.

– Tak czy inaczej, ukarać trzeba.

Poczułem na ramieniu rękę Tetora. Nachylił się do mnie i szepnął:

– Musisz sprawę sam osądzić, panie.

Spojrzałem na młodzika. Przyglądał mi się uważnie, raczej z ciekawością niż z lękiem. Odchrząknąłem i kładąc dłoń na głowni rażca Melkama, powiedziałem:

– Zwalniam go z powinności wojskowej służby.

– Jaką mu karę w zastępstwie wyznaczasz? – Rozpoznałem głos Jardona, dowódcy jednej z pięciu królewskich chorągwi.

– Zwalniam go i od kary. Jest wolny.

Wśród żołnierzy podniosły się oburzone głosy. Wstał wabatang Sajader, dowódca królewskiego hufca, wojownik najwyższy stopniem. Ruchem ręki uciszył podwładnych i przemówił stanowczo:

– Wybacz, panie, że się sprzeciwię. Księga Praw wyraźnie określa, że taka wina bez kary ująć nie może.

Głowiłem się bezskutecznie nad mądrą odpowiedzią, gdy w sukurs przyszedł mi Tetor. Podniósł się z miejsca i rozejrzawszy się po obecnych, powiedział ze zdecydowaniem w głosie:

– Warong Mikor jest strażnikiem Księgi i z racji swej powinności nigdy jej praw nie złamie. W swym postanowieniu opiera się właśnie na jej przepisach. Albowiem wśród wielu zapisów w Księdze Praw jest również i ten, że kto komu życie ocalił, ten raz jeden ma do niego prawo. Na tej podstawie warong Mikor władny jest postanowić, że młodzik, choć winny, ująć może karze.

Dał się słyszeć gwar i przez moment myślałem, że argumenty Tetora nie trafiły wybrańcom do przekonania. Zaraz jednak pojąłem, że hałas

dochodzi z zewnątrz. Nadstawiłem uszu. Głosy przybliżały się. Na moment ucichły, lecz zaraz potem korytarz wypełnił się odgłosem szybkich kroków.

Pierwsi na salę Kręgu wpadli strażnicy pałacowych murów. Szli spiesznie, nie bacząc na zachowanie porządku szeregów i prawo starszeństwa. Za nimi w podobnie nieskładnej gromadzie posuwali się żołnierze. Pochód żołnierzy otwierało dwóch rosłych batangów, którzy prowadzili swego towarzysza. Z trudem stawiał nogi i musieli go podtrzymywać, by się nie przewrócił.

– Oby powód tłumaczył wasze wtargnięcie na salę Kręgu – przemówił groźnie wabatang Sajader i poderwał się z miejsca. Lecz żołnierze, nawet nie oddawszy dowódcy pokłonu, skierowali się w moją stronę. Podeszli nie mówiąc słowa i zatrzymali się pięć kroków przede mną.

Żołnierz, którego wiedli, podniósł głowę i spróbował się wyprostować. Z trudem rozpoznałem Rymena, z którym dwa dni wcześniej zmierzyłem się w walce na kije. Ubranie miał poszarpane, policzki zapadnięte, twarz brudną od ziemi i zakrzepłej czerwci. Zdawał się starszy o dwadzieścia lat i bardziej przypominał zjawę niż żołnierza, nad którym nie tak dawno z trudem odniosłem zwycięstwo.

Jeden z podtrzymujących go towarzyszy skłonił się spiesznie i powiedział:

– Wiedziemy batanga Rymena, panie. Był z chorągwią bataranga Hidrama na ćwiczeniach pod górą Ałtu i wraca stamtąd z dziwną wieścią. Zgonił grzywacza tak okrutnie, że zwierz przestał już dychać. Widzi mi się, że i Rymen w nie lepszym jest stanie.

Powstałem z ławy i zbliżyłem się do Rymena, żeby go lepiej słyszeć.

– Z czym przybywasz? – spytałem nagłaco.

– Niestety, panie – wychrypiał. Oddech miał urywany i słowa przychodziły mu z trudem.

– Mów!

– Góra Ałtu... – zaczął. Przerwał dla nabrania oddechu i podjął dalej: – Ałtu zapadła się pod ziemię... Ja jeden ocalałem, panie.

Rymen wyzionął ducha tego samego dnia przed zachodem słońca.

Nie było mnie przy jego śmierci, bo jeszcze przed nastaniem południa wyruszyłem z chorągwią Jardona pod górę Ałtu. Popędzaliśmy grzywacze bez chwili odpoczynku, żeby dotrzeć do celu jeszcze przed nocą. Przeprawiwszy się przez płytka o tej porze roku Erugę, jedną z odnóg rzeki Marry, w niewiele ponad godzinę dojechaliśmy do Wąwozu Zawrócenia, który biegnie głęboką rozpadliną od łańcucha Samalaków i łączy się na północy z Doliną Ukambrii. Skręciliśmy w prawo i podążaliśmy ostrożnie wzdłuż krawędzi głębokiego wąwozu. Wreszcie wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń i mogliśmy popędzić grzywacze.

Spiąłem niecierpliwie grzywacza do biegu, lecz niezadługo potem osadziłem go w miejscu. Nie wierząc własnym oczom patrzyłem przed siebie. Za plecami usłyszałem krzyk Jardona:

– Rymen prawdę mówił!

Dołączyła do nas reszta batangów. Staliśmy podobni do armii wykutej w kamieniu i spoglądaliśmy w osłupieniu na północną stronę. Dzień chylił się ku zachodowi, lecz niebo było pogodne i nic nie przesłaniało nam widoku. Próżno jednak szukaliśmy na tle jasnego nieba znajomej sylwetki góry Ałtu.

Ruszyłem pierwszy, dając sygnał pozostałym. Po przejechaniu dwustu kroków napotkaliśmy pierwszą grupę uciekinierów. Kobiety, dzieci i mężowie szli bezładną gromadą, rozglądając się trwożliwie na boki, nasłuchując jak spłoszone zwierzęta. Na nasz widok rozpierzchli się i schowali za krzakami. Wyszli dopiero na głos swojego przywódcy. Był to krepok niestary jeszcze, choć poruszał się z trudem; podpierał się kijem, oszczędzając chorą nogę ściągniętą łubkami. Rozpoznał mnie najwyraźniej, bo przykuśtykał i uklonił się nisko.

– Nie jedźcie dalej, panie – wysapał. – Wszędzie rozpadliny i doły. Łacno można w nie wpaść.

– Co się wydarzyło?

– Wczoraj z wieczora, kiedyśmy kładli się do snu, zatrzęsło się okrutnie. Ziemia poczęła się rozstępować. Na własne oczy widziałem, jak cała wieś zapadła się pod ziemię. Wszystkie ostoje i krepie koło góry Ałtu zniknęły bez śladu. Nie ma już Parugi, Miassy ani Sandery. Ci, którym udało się ująć z życiem, opowiadają, że w miejsce góry Ałtu powstał olbrzymi dół.

Popatrzyłem na mizerną gromadkę ocaleńców. Naliczyłem nie więcej niż dwa tuziny osób.

– Z której krepki jesteście? – spytałem.

Potrząsnął smutno głową.

– Wiodę z mojej wioski jeno dwóch krepoków. Reszta z innych miejsc pochodzi. Trzymamy się razem, bo tak bezpieczniej.

– Dokąd myślicie pójść?

Skłonił się nisko. Nie podnosząc głowy powiedział, pokazując na gromadkę tłoczącą się za jego plecami:

– Dokąd możemy iść? Ciągniemy pod Menderę. Tu już życia nie ma.

– Jak cię wołają?

– Kirpisz, panie.

– W Menderze pytaj o Tetora, doradcę waronga. Z mojego polecenia zajmie się wami. Wyznaczy wam miejsce do osiedlenia za murami ostoi. Bywajcie.

Posuwaliśmy się teraz powoli. Szerokie rozpadliny i osuwiska zagradzały nam drogę i trzeba je było objeżdżać. Spotkaliśmy jeszcze tylko dwie grupy ocalałych krepoków: wszyscy zmierzali do Mendery. Nad wymarłą okolicą krążyły kirhy, szarpiąc ścierwa zwierząt i ludzkie trupy.

Mrok już zapadał, kiedy stanęliśmy nad krawędzią głębokiej wyrwy. Tyle zostało z góry Ałtu. Przez wieki była dla nas niezniszczalnym znakiem Pana na ziemi i obietnicą wiecznego życia, a przeminęła jak każde ze stworzeń, które po dopełnieniu żywota przechodzą na drugą stronę.

Przeczekaliśmy na miejscu do rana, a wraz ze wschodem słońca ruszyliśmy z powrotem. Przez całą drogę nie wyrzekłem słowa. Ponury nastrój nie opuszczał mnie ani na chwilę. Ożywiłem się dopiero na widok murów

Mendery. Po obrazach zniszczeń i śmierci zdała mi się prawdziwą ostoją w nieszczęściu. Przekraczając bramę Mendery byłem podwójnie szczęśliwy, że wracam do domu.

\*\*\*

Zmęczenie i zaznane troski dały o sobie znać, zaraz bowiem po powrocie do Mendery zmogła mnie dziwna gorączka. Przez pięć dni przeleżałem nieprzytomny w łóżu. Kiedy wyzwoliłem się wreszcie z choroby i sennych koszmarów, ciało miałem tak słabe, że ulap Arus musiał mnie przez dwa kolejne dni wzmacniać miksturą z tłuszczu berosa i liści matryki.

Larsenia doglądała mnie troskliwie, dzieląc czas między opiekę nad Jonem i pielęgnowanie mnie w chorobie. Wbrew swoim zwyczajom, nie oponowała nawet przeciwko obecności Medry przy moim łóżku.

Kiedy wreszcie wstałem, zamiast się ucieszyć zrobiła smętną minę.

– Nie zrywaj się przedwcześnie – nalegała.

– Przedwcześnie? Dostyc już czasu zmitrężyłem – zaprotestowałem i zacząłem się szybko ubierać.

– Słaby jeszcze jesteś – nie ustępowała. – Nadmiar wzruszeń mógłby ci zaszkodzić.

– A cóż gorszego jeszcze może mnie spotkać? – zachnąłem się.

Przypasałem ramię Melkama i zmierzałem już do ościeżni, kiedy przypomniałem sobie coś. – Gdzie Tetor? Nie widziałem go przy moim łóżu.

– Zaglądał do ciebie, kiedy byłeś w gorączce – odparła Larsenia.

Dodała z ociąganiem: – Zastaniesz go najpewniej na murze obronnym od północnej strony. Ostatnio często tam przesiaduje.

Rześkie poranne powietrze dobrze mi zrobiło. Na pałacowym dziedzińcu panował spory ruch, a hałas dochodzący z zewnętrznego dziedzińca kazał mi się domyślać, że i tam jest tłoczniej niż zwykle. Obliczyłem szybko w myślach, że wypada dziś dzień targowy. Przestałem się więc zastanawiać nad przyczyną wzmożonego ożywienia i szybkim krokiem skierowałem się ku schodom prowadzącym na mury. Spieszno mi było spotkać Tetora, ciekaw bowiem byłem, co nowego wydarzyło się podczas mej choroby.

Na widok Dardana zatrzymałem się mimo woli. Siedział na ziemi pod murem i minę miał tak smętną, jakby był nie błaznem lecz żałobnikiem. Na mój widok podniósł głowę, lecz milczał.

– Jakże to, Dardanie? – zacząłem żartobliwie. – Witasz mnie smętnym spojrzeniem zamiast rozbawić jakimś żartem? Nie wiesz, że smutny błazen tym jest dla króla czym katar dla nosa?

Dardan nawet się nie uśmiechnął. Podniósł na mnie zmęczone oczy.

– Mówią, że nie można dwóm panom służyć – zaczął markotnie – lecz mizeria naszej ziemskiej kondycji wiedzie nas nierzadko do łamania tego zakazu. Jestem ci wierny ciałem i duszą, acz w sprawach cielesnych, przyznaję, sroższemu muszę czasem poddawać się panu. Tobie jestem sługą, jemu zaś niewolnikiem. Mówię o kałdunie, mym wielce wymagającym towarzysz.

Czy tego chciał, czy nie, rozbawił mnie serdecznie. Roześmiałem się.

– Jaki masz powód do frasunku? Od dawna przecież utrzymuję was obu i nie widzę powodu, by któremuś z was wypowiedzieć służbę.

– Świat przemawia do nas na tysiące sposobów, lecz nie każdy z nas potrafi w porę odczytać przestrozę. Lękam się, panie, że tak jak zapadła się Ałtu, tak i mój kałdun wkrótce się zapadnie. Z każdym dniem jest coraz bardziej pusty. A zaręczam ci, że wbrew prawom natury wcale nie stał się przez to lżejszy.

– Ślubowałaś wstrzemięźliwość od jadła? A może nadmiar wiatrów zmusił cię do postu?

– Za bardzo się lubię, by zadawać sobie bezrozumne katusze. – Westchnął głośno i skubiąc mięsiste ucho dokończył urażonym tonem: – Dworujesz sobie ze mnie, panie. Niedobrze, gdy król z błaznem na role się zamieniają. Idzie nawałnica, która mocniejszym ode mnie da radę.

Spojrzałem na bezchmurne niebo.

– Widzę, że żołądek i rozum zanadto ci się ze sobą zmieszały – mruknąłem.

– Wejdz, panie, na mury, a zobaczysz więcej.

Wzruszyłem ramionami. Postanowiłem nie zaprzętać sobie głowy dziwactwami błazna i wspiałem się schodkami na szczyt obronnych murów. Już z daleka dostrzegłem znajomą sylwetkę Tetora: stał odwrócony do mnie plecami, znieruchomiały, jakby czemuś się pilnie przypatrywał. Kiedy podszedłem, skinął głową i wypowiedziawszy zdawkowe pozdrowienie, z powrotem odwrócił głowę. Poszedłem za jego spojrzeniem.

Na trawiastych połaciach wzdłuż północnych murów Mendery tłoczno było od ludzi i zwierząt. Naliczyłem pięć tuzinów naprędce postawionych wotroków i szałasów skleconych z gałęzi. Między nimi krążyli ludzie w strojach tak poszarpanych i brudnych, że nie sposób było poznać stanu ni pochodzenia właściciela. Wokół obozowiska tliły się mizerne ogniska, lecz zaledwie nad jednym wisiał kocioł do warzenia strawy.

Odwróciłem się do Tetora.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem.

– Wciąż przybywają ocalańcy z okolic Ałtu. Zebrało się z dziesięć tuzinów rodzin i nie dla wszystkich starczyło miejsca w krepkach koło Mendery. Dla reszty kazałem tymczasem przeznaczyć puste tereny przy murach. Gdzie miałem ich posłać? Sami się nie wyżywią, niewiele dobytku uratowali.

– Damy im z tydzień odpocząć. Potem sami z pomocą tutejszych wyrobników mogą postawić nowe domostwa. Wyznacz ludzi do nadzorowania niezbędnych prac. Sam nie możesz wszystkim się zajmować.

Tetor odpowiedział mi uważnym spojrzeniem. Chowając ręce w szerokich rękawach kaftana, rzekł cicho:

– To nie koniec złych wieści. Wczoraj z wioski znad Marry przybyli pierwsi wieśniacy, dziś rano nadciągnęli kolejni. Straszne rzeczy opowiadają.

– Mammonici? – zawołałem, nie kryjąc zaskoczenia wieścią. Od ich pamiętnej porażki przed szesnastu laty, mammonickie oddziały ani razu nie ważyły się zapuścić na drugą stronę rzeki.

– Gorzej, panie. – Tetor długo zastanawiał się nad odpowiedzią. – Marra niespodziewanie wystąpiła z brzegów. Ci, którzy zdołali uciec, mówią,

że woda w rzece w ciągu jednej nocy tak przybrała, że zalało nawet wioski oddalone o pół dnia marszu od brzegu. Z przybrzeżnych krepki nikt się nie uratował. Uciekinierzy opowiadają, że woda wdziera się na wciąż nowe tereny.

Jak żywy stanął mi przed oczami Dardan i przypomniałem sobie jego słowa o nadciągającej nawałnicy. Zszedłem z Tetorem na pałacowy dziedziniec i udałem się wraz z nim za mury Mendery. Po krótkim marszu dotarliśmy do obozowiska uciekinierów znad Marry. Przyszło mi wysłuchać przerażających opowieści.

Rzeka wystąpiła z brzegów nocą. Jeszcze wieczorem płynęła spokojnym nurtem i nic nie zapowiadało nieszczęścia. Woda porywała całe wioski i zanim nastał ranek, brunatna kipiela pochłonęła uprawne pola i krepki z mieszkańcami. Tarogi pływały leniwie pośród trupów ludzi i zwierząt, sycąc się łatwą zdobyczą, szarpiąc to, czego zjeść nie były w stanie. Kirhy zwabione zapachem czerwi krążyły w dzień i w noc nad wodnym żerowiskiem, dzieląc z tarogami obfite łupy.

\*\*\*

Tej nocy długo siedziałem przy otwartej ościeżnicy, próżno czekając na sen. Gwiazdziste niebo zapowiadało pogodny ranek. Słyszałem spokojny oddech Larsenii i cichutkie posapywanie Jona w kołysce. Powtarzałem sobie z wiarą, że skoro zło i dobro równo się w świecie rozkładają, to po paśmie nieszczęść powinien nastąpić czas spokoju.

Zasnąłem dopiero z pierwszymi promieniami słońca.

Zbudziłem się zlany potem. Słońce przygrzewało już mocno, choć do południa było jeszcze daleko. Larsenia nakarmiła i przewinęła Jona, ale malec wciąż popłakiwał. Dotknąłem mu czoła: wydało mi się gorące. Przykazałem więc Larsenii posłać po ulapa Arusa, sam zaś pospieszyłem na dziedziniec. Pilno mi było zobaczyć, co nowego wydarzyło się przez noc i poranek.

Tetor czekał na mnie w cieniu murów. Ocierając pot z czoła, powitał mnie równie smętną miną jak wczoraj.

– Słońce praży dziś niemożliwie – pożałił się na początek. – Zaoszczędzę ci, panie, trudu wspinaczki na mury i powiem, co sam już widziałem. Przez noc przybyło kolejnych sześć tuzinów uciekinierów z terenów zalanych przez Marrę. To znak, że woda rozlewa się coraz szerzej.

– Znalazłeś dla nich miejsce?

– Trawiastych pól mamy dosyć, ale czym więcej możemy im służyć? Skór nie starcza na nowe watroki, a i z drzewem na szałaszy krucho. Z grubsza licząc, przez siedem dni pod Menderę ściągnęło dwadzieścia tuzinów rodzin ocalańców z Ałtu i znad Marry. Wszystkich musimy nakarmić i przyodziać.

– Jakie mamy zapasy?

– Przy takiej gromadzie nie starczy na długo. Zboża z zeszłorocznych zbiorów będzie na sześć tygodni, suszonego mięsa na dwa. Szczęśliwie zboże na polach dobrze w tym roku obrodziło. Jeżeli nie spadną ulewne deszcze, za dwa tygodnie powinniśmy zebrać obfity plon.

Osloniłem dłonią oczy przez rażącym słońcem, spojrzałem na niebo. Nie zobaczyłem nawet jednej chmurki.

– Nie zanosz się na deszcz – zawyrokowałem.

Nie pomyliłem się. Deszcz nie spadł ani tego dnia, ani nazajutrz, ani dnia następnego. Przez trzy kolejne dni z nieba lał się słoneczny żar i ziemi nie zrosiła kropla deszczu. Uciekinierzy porzucali w dzień obozowiska i szukając cienia zaszywali się jak zwierzyna w leśnych ostępach. Wracali do obozów dopiero nocą, by spiesznie uwarzyć strawę i odpocząć przed wschodem słońca.

Powietrze nagrzane w ciągu dnia niewiele się ochładzało z nadejściem nocy. Wbrew moim wcześniejszym obawom, nie głód, lecz upał i choroby zaczęły zbierać wśród uchodźców śmiertelne żniwo. Krewni i ziomkowie zmarłych grzebali ciała nocą w płytkich dołach. Z dnia na dzień trupów przybywało. Wkrótce kazałem Sajaderowi wyznaczyć oddział żołnierzy do pomocy przy pochówku.

Piątego dnia Sajader zjawił się z samego rana w mej komnacie. Siedziałem właśnie przy kołysce i doglądałem Jona, chcąc ulżyć Larsenii zmęczonej całonocnym czuwaniem przy dziecku. Po minie dowódcy królewskich wojsk poznałem, jakich wieści winienem się spodziewać.

– Żołnierze buntują się. Nie nadążamy z grzebaniem umarłych. Ziemia jest twarda jak kamień i nie sposób w niej kopać. Dzikie burkasy i manbesy nawet w dzień podchodzą pod mury, rozgrzebują płytkie groby i wywlekają ciała. – Spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi. – Musimy palić zwłoki, bo inaczej przy panującym upale grozi nam pomór. Nie ma innego sposobu, panie.

Musiałem przyznać mu rację, choć myśl o paleniu zwłok była mi niemiła. Odeszliśmy od dawnego zwyczaju sporządzania grzebalnych stosów, podobnie jak odrzuciliśmy fałszywą wiarę kapłana Kwapry, który w płomieniach pogrzebowego stosu kazał nam widzieć drogę do zbawienia.

– Masz moje przyzwolenie – przystałem niechętnie. – Dopilnuj tylko, żeby żołnierze nie zapominali o stosownych modłach.

Sajader skinął głową, ale nie odchodził.

– Z jeszcze jedną rzeczą przychodzę – podjął ważąc słowa. – Pewnie pamiętasz, panie, młokosa, który kazał zwać się Melkamem? Kręcił się koło murów, zaglądał do samej Mendery, teraz krąży po obozach ocalańców. To wichrzyciel. Głosi, że spadły na nas nieszczęścia, bo wyrzekliśmy się dawnej wiary i odeszliśmy od tradycji. Na razie niewielu daje mu posłuch, ale zmęczenie i głód mogą to łąco zmienić. A oto, co dziś rano znaleźliśmy przybite na bramie Mendery.

Wabatang wyjął z rękawa sporych rozmiarów rulon. Kiedy go rozwinął, ujrzałem pisane zgrabnym pismem słowa:

*Czuwać trzeba, bo noc już bliska,  
Iskry płomieni drążą ciemność.  
Nie poznasz, czy to ślad ogniska,  
Czy ślepia bestii niosące senność,  
Co pęta ciało i stępia zmysły,  
By tym pewniejszą przynieść zgubę,  
Temu, co pełne wygod życie  
Przedkłada nad żołnierską chlubę.  
Zginie wraz z nocy ostatnim mgnieniem –  
Cień bohatera jest tylko cieniem.*

– Pewny jesteś, że to sprawka Melkama? – spytałem.

– Nie inaczej.

– Jaka na to rada?

– Daj rozkaz, a moi batangowie w mig zrobią z nim porządek.

– Być nie może – odparłem podnosząc głos.

– Buntuje ludzi, panie.

– Martwy więcej nam może zaszkodzić niż żywy. Poczekaj, spadną deszcze, upał zelżeje, to nie będzie mu kogo buntować. Tymczasem zajmij się pochówkami.

Wabatang odszedł i jeszcze przed południem zapłonął pierwszy pogrzebowy stos.

Następnego dnia upał tylko bardziej przybrał na sile. Kazałem Sajaderowi postawić strażę przy pitnych źródłach i wypływach podziemnych strumieni, by pilnowali sprawiedliwego rozdziału malejących zapasów wody. Zwierzęta gospodarskie pędzono raz dziennie do jeziora Iku; zaspokoiwszy pragnienie, krążyły z żalonym porykiwaniem po spalonych słońcem łąkach, wydłubując ze spękanej ziemi resztki pożółkłej trawy. Pilnowali ich pastuchowie wspólnie z żołnierzami, bo dzikie zwierzęta coraz częściej wykradały sztuki ze stad.

Siódmego dnia wieczorem, kiedy Larsenia szykowała Jona do snu, do ościeżni sypialni zapukali Tetor i Sajader. Zdziwiło mnie, że tuż za nimi postępuje tuzin zbrojnych po zęby żołnierzy. Zostawiwszy eskortę na pałacowym korytarzu, weszli obaj spiesznie do sypialni i przeprosili za najście o tak późnej porze. Sajader spojrział porozumiewawczo na milczącego Tetora i z miejsca przystąpił do rzeczy:

– Moi batangowie starli się dziś z krepokami. Ubili sześciu, sami stracili dwóch towarzyszy. Wracali właśnie z pastuchami gnającymi stado mlaskurów od wodopoju, kiedy napadło na nich ze trzy tuziny wieśniaków i pośledników.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, włączył się Tetor:

– Ludziom w oczy głód zagląda i nie dziwota, że zaczynają się burzyć. W samej Menderze jest jeszcze co jeść, ale za murami wielu od dwóch dni nic nie miało w ustach. Głód może pchnąć ludzi do najgorszego.

Sajader przytaknął skinieniem głowy i powiedział:

– Dla bezpieczeństwa kazałem podwoić strażę na murach i wokół samego pałacu. – Wskazując ręką czekających za ościeżnią żołnierzy, dodał: – Za radą Tetora a twoim, panie, przyzwoleniem, postanowiłem przydzielić ci eskortę.

Spojrzałem na Jona, który zasnął w ramionach matki. Larsenia odpowiedziała mi trwożnym spojrzeniem.

Ruchem ręki zaprosiłem gości do swej komnaty. Kiedy weszli, zapytałem, ścisząc głos:

– Jakie mamy zapasy?

Tetor wyjął z kieszeni kaftana listok zapisany kilkoma rzędami cyfr.

– Spizarnia pałacowa wyżywi domowników jeszcze przez tydzień. W samej Menderze jedzenia starczy na trzy, może cztery dni. Najgorzej jest na wsiach i w obozach ocalańców. Przyjdzie nam szlachtować młode berkiry i mlaskury, żeby wyżywić tych, co już nic nie mają. Ale i bydło, choćby wszystko wybić, skończy się po najwyżej dwóch tygodniach. Co pocniemy potem?

Po tych słowach Tetor zerknął przez ramię w stronę Larsenii, która stała z Jonem na ręku w prześwicie wiodącym do sypialni i zdawała się podsłuchiwać, o czym rozmawiamy. Schylił się do mnie głowę i powiedział cicho:

– Tegoroczne zboże stracone, nic się nie da uratować. Jeśli upał potrwa jeszcze ze trzy dni, nawet trawa szybko się nie odrodzi. Takiego żaru z nieba nikt z żywych nie pamięta. Ludzie powtarzają, że to zły znak. – Spojrzał na mnie uważnie. – I nie sposób odmówić im słuszności.

Sajader poruszył się niespokojnie.

– Trudno się także dziwić – wtrącił od siebie – że przy takim stanie rzeczy słowa młokosa Melkama zyskują poklask. Zebrał wokół siebie nie tylko wielu uciekinierów i pośledników. Ciągnie też do niego sporo wieśniaków, którzy służyli do niedawna w chorągwiach krepackich. Tak jak ostrzegałem, panie, z każdym dniem pozwala sobie na coraz więcej. Rozpowiada, że zniknięcie Ałtu, powódź i susza to dopiero początek nieszczęść, które nas czekają.

– Nieszczęściem byłoby dać mu pretekst do wzniecenia buntu – przestrzegłem. – Każ swoim ludziom mieć na niego po cichu baczenie. Mają go obserwować, ale niech się wystrzegają wszczynania zwady.

– Bezpieczniej będzie – zaproponował Sajader – posłużyć się cywilami. Mam kilku szpiegów w gromadzie, którą otacza się Melkam. – Westchnął, jakby poczuł się bardzo strudzony. – Poza tym niechętnie bym się pozbywał kolejnych żołnierzy. Odliczywszy żołnierzy, których wyznaczyłem do wzmocnienia straży Mendery oraz tych, których odesłałem do pilnowania obozów ocaleńców i stad bydła, zostały mi niespełna dwie chorągwie batangów. Musimy także mieć na uwadze, że i w szeregach wojska mogą zacząć się niesnaski. Zagłada chorągwi Hidrama to nie tylko ogromna strata liczebna. Boję się, że śmierć żołnierzy Hidrama wywarła piętno na ich towarzyszach.

I mnie nie opuszczały różnorakie obawy, choć starałem się nie dać tego po sobie poznać. Przyznać muszę ze skruchą, że w tamtym czasie niepokój o

najbliższych brał we mnie górę nad lękiem o losy kraju. Mówią wszakże, że w chwilach szczególnej próby rozum często kłóci się z sercem.

Doświadczałem podobnego rozchwiania uczuć od tygodnia i noc siódmego dnia nie była w tej mierze wyjątkiem. Wśród wielu pytań, na które nie znałem odpowiedzi, było także pytanie o przyczyny nieszczęścia. Jeżeli plagi, które na nas spadły, były oznaką kary Stworzyciela, to w czym zawiniliśmy? Wszak w sprawiedliwym osądzie, któremu poddaje nas Pan nie ma kary bez winy.

Takie i podobne myśli tłukły się w mej głowie niczym kamyki w pustym dzbanie, kiedy zasypiałem późną nocą. Ich natrętne dudnienie obudziło mnie też wczesnym rankiem. Oprzytomniawszy nieco, zacząłem uważnie nasłuchiwać: dudnienie nie rozbrzmiewało w mej głowie, lecz dobiegało wyraźnie z zewnątrz. Zeskoczyłem z łoża, dobiegłem do otwartej ościeżnicy i wyjrzałem na wciąż spowity półmrokiem dziedziniec. Nie myliłem się. To, co jeszcze wieczorem wydawało się mrzonką, spełniało się oto na moich oczach: z nieba padały grube krople deszczu.

Cicho, by nie obudzić Larsenii i Jona, narzuciłem na siebie kaftan i nargoty i zbiegłem po schodach, zmierzając na pałacowy dziedziniec. Medra z ociąganiem ruszyła za mną. Jeszcze na schodach spostrzegłem, że na zewnątrz mimo wczesnej pory tłoczno jest i gwarno. Nie zatrzymując się, dobiegłem do ościeżni i wypadłem na dziedziniec. Ledwo wystawiłem ręce pod strumień deszczu, poczułem piekący ból. Szybko ukryłem dłonie w szerokich rękawach kaftana. Zgięty w pół, by uchronić twarz przed parzącymi kroplami, wycofałem się jak najspieszniej do pałacu. Medra powitała mnie ujadaniem. Przeciągnąłem dłonią po jej grzbiecie: futro miała suche.

Ukryty w korytarzu mogłem tylko patrzeć, jak kolejni mieszkańcy pałacu wylegają ze wszystkich stron na podwórzec szukając ochłody. W chwilę potem, zlani ognistym deszczem, darli na sobie ubrania i biegali w poszukiwaniu schronienia, powiększając zamęt panujący na dziedzińcu. Krzyki i wołania o pomoc mieszały się z przekleństwami. Komu sił nie starczyło i

przewrócił się, ten już nie wstawał, stratowany przez ogarniętą przerażeniem ciźbę.

Widziałem, że Sajader ze swymi żołnierzami usiłuje zaprowadzić porządek. Mieli na sobie dla ochrony płaszcze ze skóry mlaskura odwrócone włosiem do spodu, na głowach także kaptury; biegając z obnażonymi mieczami, nie szczędząc razów opornym i nieposłusznym, kierowali ludzi do osłoniętych od deszczu miejsc.

Raptem od tłumu odłączyło dwóch żołnierzy. Biegli w stronę królewskiego skrzydła pałacu i dźwigali coś wspólnie na rozłożonym płaszczu, posuwając się tak szybko, jak pozwalał im na to ciężar. Niemal nie zwalniając wpadli przez ościeżnię do środka, złożyli ciężar na podłodze i dopiero wtedy mnie spostrzegli. Ukłonili mi się krótko, łapiąc chrapliwie oddech. Jeden z nich wydyszał, wskazując nieruchomy kształt spoczywający na płaszczu:

– Niesiemy Tetora z rozkazu wabatanga Sajadera. Niewiele w nim życia zostało, panie. Sajader kazał go przynieść do pałacu i ciebie powiadomić.

Nachyliłem się nad płaszczem. Totor oczy miał zamknięte i ciężko oddychał. W świetle pochodni oświetlających korytarz spostrzegłem, że twarz ma czerwoną i obrzmiałą, pokrytą drobnymi bąblami. Poruszył się konwulsyjnie, zacharczał.

– Biegnij po ulapa Arusa! Szybko! – rozkazałem. Jeden z żołnierzy ruszył posłusznie do skrzydła dla dostojników dworu, gdzie medyk Arus miał swoje mieszkanie.

Totor otworzył oczy. Rozpoznał mnie i skrzywił twarz w grymasie. Zrozumiałem, że chce mi coś powiedzieć. Nachyliłem się nad nim.

– Ogniste słońce i ognisty deszcz... – wycharczał. Wbił wzrok w sufit, jakby tam dojrzał coś, co przed moim wzrokiem było zakryte. Chwył mnie za rękę i ostatkiem sił zawołał: – Gorszy jeszcze ogień nadchodzi. Strzeż się go, panie!

Po tych słowach zamknął oczy i skonał.

Ognisty deszcz padał bez przerwy do ranka następnego dnia. Odważyłem się wyjść dopiero wczesnym popołudniem, kiedy słońce osuszyło już nieco ziemię. Medra towarzyszyła mi niechętnie i patrzyła na mnie z wyrzutem. Powietrze było wciąż ciężkie od siarczanego zapachu. Po pałacowym dziedzińcu przemykały spiesznie pojedyncze sylwetki, goniąc za sobą wiadomymi sprawami. Nikt też nie zwracał na mnie uwagi, kiedy przekroczyłem otwartą bramę Mendery i skierowałem się bez celu ku polom uprawnym otaczającym królewską ostoję. Medra wlokła się przy nodze. Ogon miała spuszczonej, łeb wtulała w siebie, nie zatrzymując się ani razu, by złowić jakiś zapach.

To, czego nie wypalił żar z nieba, zniszczył ognisty deszcz. Tam, gdzie jeszcze przed tygodniem zieleń się sady i uprawne pola, rozciągała się teraz szara pustynia. Ziemię zaścielały martwe zwierzęta, napęczniałe już i woniejące nieprzyjemnie. Zamierzałem zawrócić, gdy raptem Medra krótko zaszczekała i pobiegła w stronę odległych o sto kroków drzew banu, których rozłożyste korony po utracie liści zdawały się jeszcze większe. Próbowałem ją przywołać, lecz nie posłuchała mnie. Położyłem dłoń na rękojeści rażca i ruszyłem za burkasem najszybciej jak potrafiłem.

Zanim doszedłem na miejsce, po szczeku Medry poznałem, że mam do czynienia z przyjacielem. Zdziwiłem się rozpoznawszy Dardana. Stał przy drzewie banu, niemal przywarty do ogromnego pnia, czymś pilnie zajęty. Na mój widok odwrócił tylko głowę i nie przerywając zajęcia, mruknął coś pod nosem.

– Tak witasz waronga? – krzyknąłem rozeźlony.

– Cóż to za władca, który ma za herolda burkasa?

Wzruszyłem ramionami na błazeńską odpowiedź i spytałem spokojniejszym już tonem:

– Co tam robisz?

– Używam głowy, żeby przechytryć brzuch – odburknął, wciąż stojąc do mnie tyłem.

– Jeżeli mam rozmawiać tylko z twoim zadkiem, to lepiej zrobię wyręczając się różgą.

Przerwał zajęcie i odwrócił się do mnie twarzą.

– Widzę, panie, że powoli dorównujesz mi konceptem. Co robię? Zbieram sok z drzewa banu do nosielnika, żeby mieć czym oszukać żołądek. Banu to prawdziwy olbrzym wśród drzew. Słońce go nie wysuszyło i deszcz nie zatruł mu korzeni, więc sok krąży w nim czysty. Spróbuj sam, panie.

Nieraz piłem sok banu, tyle że rozcieńczony i z domieszką ziół dla smaku. Przyłożyłem nosielnik do ust i ostrożnie skosztowałem. Sok był gęsty i słodki, lekko cierpkawy, nie mdlił więc i można go było wypić więcej.

Wypiłem pięć sporych łyków i doznałem miłego uczucia sytości.

– Smaczny – oceniłem oddając nosielnik Dardanowi.

– Oraz treściwy, jak twierdzi ulap Arus. Pozwala zaspokoić pierwszy głód i z braku wody gasi pragnienie.

– To, co zebrałeś na długo nie starczy.

– Będzie dosyć. Poniesiemy jeszcze spory zapas do Mendery.

Wyciągnął spod kaftana dwa spore nosielniki, jakich krepoki używają do dojenia mlaskurów. Podał mi jeden, a sam zbliżył się z powrotem do drzewa. Dopiero teraz spostrzegłem, że w korze tkwią nieduże lejkowate naczynia, do których ścieka sok. Dardan począł je zdejmować i ostrożnie, by nie uронić kropli, przelewał ich zawartość do nosielnika, po czym puste naczynia wbijał w przygotowane wcześniej nacięcia w korze. Kiedy nappełnił oba nosielniki, przykrył je kawałkami czystej tkaniny i starannie obwiązał powrółem.

– Powinno wystarczyć przynajmniej do jutra dla rodziny waronga i dla jego błazna – oznajmił z miną, jakby składał mi w darze skarby Mendery. – Wrócę tu wieczorem i ponownie opróżnię naczynia.

– Nie myślisz chyba zatrzymać sekretu dla siebie? – oburzyłem się.

– Sekretem mógłbym się podzielić, ale nie jedzeniem. W takich przypadkach rozum musi działać w parze z żołądkiem. Zapytaj swojego rozumu i żołądka, panie, na pewno powiedzą ci to samo.

Przez całą drogę do Mendery milczałem. Larsenia przyjęła nosielnik bez słowa, jakby spodziewała się, że nie wrócę z pustymi rękami. Postawiła na stół osmułki, które kucharz usmażył z resztek mąki, i zwilżyła je sokiem banu. Smakowały mi jak nigdy. Mimo to odkładałem co większe kawałki na talerz Larsenii. Piersi miała wciąż pełne mleka, lecz trudy ostatnich dni dały jej się mocno we znaki. Wiedziałem przecież, że od jej zdrowia zależy życie Jona.

Wieczorem pochowaliśmy Tetora. Zawsze marzył mu się pochówek w którejś z grot w Kamiennej Kotlinie, gdzie mieli swoje groby najznakomitsi obywatele Mendery. Toteż dawno już w tajemnicy przed nim kazałem przygotować godne miejsce w pobliżu grobowca, w którym złożyłem przed laty ciało Amsy. Jednak nieszczęścia ostatnich dni nie tylko te zamiary obróciły wniwecz. Pogrzebaliśmy więc Tetora z należnymi honorami koło murów pałacu, pamiętając o stosownych modlitwach.

Śmierć Tetora przygnębiła mnie bardziej, niż chciałem się do tego przyznać. Mocno zapadły mi w pamięć jego przedśmiertne słowa. Im dłużej nad nimi myślałem, tym większej nabierałem pewności, że chciał mnie przed czymś przestrzec. Do lęków już znanych doszedł nowy, jeszcze nie nazwany, a przez to straszniejszy. Wraz z nim zaś nieuchronnie powracało pytanie o przyczynę plag, które nas nawiedziły. Od kogo miałem zacząć poszukiwania winowajcy, jeżeli nie od siebie?

Jak więc zapisano w Księdze Praw, wziąłem długi postronek sporządzony z pierwszego runa białego berkira, nie używany jeszcze i nie splamiony. Oczekałem do następnego wieczoru i pod pretekstem sprawdzenia straży na murach, wymknąłem się z komnaty. Zapaliłem świeżą pochodnię od jednego z łuczyw na korytarzu i otulony płaszczem, chowając w kieszeni biały postronek, wybiegłem na zewnątrz. Oświetlając sobie drogę pochodnią, doszedłem do wschodniego załomu murów, wbiłem pochodnię w ziemię i dobyłem z kieszeni postronek.

Zacząłem się modlić słowami, których nauczył nas Pan, przeplatając je nawoływaniem o jasność widzenia win i łaskę ich odpuszczenia. Przywołując na pamięć dawne i nowe postęпки, zacząłem robić wiązania na postronku dla wyobrażenia przewinień, które popełniłem. Pierwsze supły zawiązałem na pamiątkę grzechów wobec Amsy i Miszry. Nie zapomniałem o grzechu pychy, buty, zwątpienia i lenistwa, dodając zaraz potem grzech kłamstwa i zatracenia się w przyjemnościach. Sporządziłem gruby supeł, by ukarać się za niedostatek miłości wobec Larsenii i liczne wobec niej przewinienia. Byłem sam sobie najsurowszym sędzią i żaden niecny postępek nie ostał się tego wieczoru bez przypomnienia. Kiedy skończyłem, biały postronek gęsto pokrywały węzły. Rozpaliłem łuczywem przygotowane już w południe ognisko, a kiedy drewno zajęło się płomieniem, wrzuciłem węzły grzechów do ognia, modląc się, by Stworzyciel oczyścił mnie z win.

Strzeły języki ognia, zaskwierzało. I naraz jasne płomienie przygasły. Podniósł się ciemny dym i zdusił ognisko. Między nadpalonymi szczapami leżał nienaruszony postronek, na którym zawiązałem węzły grzechów. Nie zostały mi odpuszczone.

\*\*\*

Z żalu i utrapienia musiałem stracić przytomność, bo kiedy się ocknąłem, leżałem zmarznięty na ziemi, obok wygasłego ogniska. Było już jasno, podniosłem się więc szybko, obmyślając gorączkowo, jak wytłumaczyć Larsenii tak długą nieobecność. Dopiero teraz spostrzegłem, że słońce jeszcze nie wstało, a brzask, który rozświetla niebo jest odbłaskiem pożaru. Z sercem ściśniętym trwogą puściłem się w stronę, skąd biła luna.

Płonęło królewskie skrzydło pałacu i przylegająca do niego część północna. Po pałacowym dziedzińcu biegali bezładnie poślednicy i żołnierze Sajadera, znosząc wodę w skórzanych nosielnikach i polewając bezradnie ściany pałacu. Na ratunek było już za późno. Z ościeżnic dobywał się gęsty dym i płomienie.

Rzuciłem się bez namysłu do wejścia. Drogę zasłoniło mi dwóch żołnierzy o twarzach czarnych od sadzy.

– Nie idź tam, panie! – zawołał jeden. Po głosie poznałem Jardona, dowódcę jednej z królewskich chorągwi. – Nie ma już kogo ratować. Posłałem na górę czterech ludzi, żaden nie wrócił.

Odepchnąłem Jardona i wbiegłem do pałacu. Na korytarzu ciemno było od dymu i nie od razu odnalazłem drogę na schody. Zaraz u ich podstawy natknąłem się na ciała czterech batangów. Ominąłem ich i zacząłem wspinać się po stopniach. Gryzący dym wciskał się przez nozdrza, potęgując ból w piersiach. Byłem bliski omdlenia, kiedy tuż przede mną wyłoniła się Larsenia. Zsuwała się po stopniach, przyciskając do piersi niewielkie zawiniątko. Złapałem cenny pakunek, otoczyłem Larsenię ramieniem i wlokąc ją po schodach, dotarłem na parter. Sam nie wiem, w jaki sposób znalazłem się na pałacowym dziedzińcu. Ktoś szybko podbiegł, podtrzymał nieprzytomną Larsenię, ktoś inny odebrał dziecko. Rozpoznałem Arusa.

– Ratuj ich! – wychrypiałem.

Oboje spiesznie poniesiono na noszach. Tuż koło mnie wyrósł Sajader. Na jego widok odzyskałem siły. Złapałem go za klapy kaftana i szarpiąc nim jak w gorączce, zawołałem:

– Mów, kto to zrobił! To sprawka młokosa Melkama? Przysięgam, zapłaci mi za to!

Sajader pokręcił powoli głową.

– Nie, panie – odparł głosem tak cichym, że ledwo go słyszałem. – Nie człowiek tego dokonał. Wiem, bo sam widziałem. To zendo, panie.

## 6

Larsenia zmarła jeszcze tej nocy. Płuca miała zatrute dymem i nie było dla niej ratunku. O życie Jona medyk Arus walczył aż do rana, ale kiedy wzeszło słońce mógł mi z przekonaniem obiecać, że chłopiec będzie żył.

Przyniósł mi tę wiadomość do kuchennego przedsionka, które jako jedyne ocalało z pożogi. Siedziałem przy Larsenii, obmytej już i gotowej do pochówku, spowitej szczelnie w całun. Kazałem też przykryć Larsenii twarz. Ogień bardzo ją zeszpecił, a chciałem, by każdy zapamiętał Larsenię taką, jaką była za życia. Dotykając przez całun jej ran, rozmyślałem nad losem, który postawił ją na mej drodze. Darowałem Larsenii bogactwo, jakiego nie zaznałaby gdzie indziej, lecz żałowałem daru miłości, którego sama mi nie skąpiła. Dwa razy dała Jonowi życie, czyniąc mnie w trójnasób swoim dłużnikiem. Bolałem nad tym, że żadnego z tych długów nigdy już nie będę mógł spłacić.

Wraz z Arusem przybył wabatang Sajader. Odczekał, aż ulap przekaze mi wieści i odejdzie, po czym sam przystąpił do relacji. Głos miał już pewniejszy, lecz w oczach nadal czaił się niezwykły u niego lęk.

– Jak to mam teraz we zwyczaju – zaczął – około północy wyprawilem się pod bramę Mendery, żeby sprawdzić posterunki. Różne w obecnym czasie mogą się rzeczy zdarzyć, wolę więc mieć sam na wszystko baczenie, zwłaszcza teraz, gdy nieszczęście może pchnąć ludzi do nieprzewidywalnych czynów. Upewniłem się, że brama jest zamknięta a wartownicy trzymają straż. Uspokojony zamierzałem wracać, gdy raptem posłyszałem przeraźliwe krzyki i głośny furkot, jakby wiatr się zerwał i tarmosił setkami porpców. Potężny podmuch rzucił mnie na ziemię. Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem jakieś ogromne cielsko przelatujące nad murem Mendery. Ciemno było, ale bestia zdawała się gorzeć jak jedna wielka pochodnia i dobrze widziałem ohydne kształty. Unosiła się w powietrzu na potężnych skrzydłach, cielsko miała pokryte lśniącymi łuskami, długą pierzastą szyję i łeb zakończony krętymi rogami w kształcie piorunów. Potwór trzymał w pysku strażnika. Przeleciał tuż

nad murem, a zaraz za nim dwa następne. Widziałem, jak bestie ognistym oddechem wzniecają pożar w komnatach pałacu. Zaraz potem odleciały.

Słuchałem jego opowieści z rosnącą trwogą.

– Ktoś jeszcze je widział? – zapytałem. Łudziłem się przez moment, że historia Sajadera jest tylko jego wymysłem.

– Poza moimi żołnierzami, wiem o krepoku Kirpiszu, wodniarzu Maleniu i Arusie. Bestie widziało też dwóch strażników pałacowych murów. – Poprawił nerwowo miecz przy pasie. – Czterej pozostali strażnicy, którzy w nocy byli na murach, przepadli bez śladu.

– Masz chyba rację – przyznałem z ciężkim westchnieniem. – Twój opis pasuje do wizerunku potwora, którego napotkałem w Samalakach.

Mimo że od tamtego dnia minęło ponad szesnaście lat, obraz gada wciąż miałem w pamięci. Wzdrygnąłem się, bo naraz zdało mi się, że znów widzę, wyraźnie jak wtedy, wyzierający z paszczy brunatnozielony jęzor i wpatrzone we mnie zgniłozółte ślepia. Gdyby nie pomoc Stworzyciela i magiczny razeć Melkama, żywy bym wówczas z tej przygody nie wyszedł.

Ze wszystkich dzikich stworzeń zamieszkujących ziemię, zendo był bez wątpienia najstraszniejszy. Grozę, która go otaczała, potęgowało jeszcze i to, że zawsze zjawiał się niespodziewanie, nie dając mieszkańcom szans na przygotowanie obrony. Od wieków opowiadano ze zgrozą o jego ohydnej postaci i krwiożerczej naturze. Słusznie upatrywano w zendo wysłannika Makuna, wcielenia zła na ziemi, i słusznie lękano się wymawiać jego imię. Skoro bowiem nawet Stworzyciel nie ma nad złem władzy, jakże ma mierzyć się ze złem omylny człowiek?

Jedyną nadzieję na pokonanie Makuna upatrywano w zespoleniu potęgi Pana z męstwem śmiertelnika. Z tą też myślą Stworzyciel wręczył mi przed szesnastu laty kość z żebra zendo, którego wcześniej pokonałem z Jego pomocą. Przestrzegł mnie przy tym, by magiczne narzędzie nie dostało się w niepowołane ręce. Niebezpieczeństwa tego szczęśliwie się ustrzegłem do czasu, aż podstępny Kwapra, do końca niestrudzony w wymyślaniu sposobów przejęcia władzy, zdołał mi kość wykraść. Pochwycony na gorącym uczynku,

nie miał jednak innego wyjścia jak wrzucić magiczną kość do ogniska. Tam spłonęła jak każda z ziemskich rzeczy, które płomień ognia pochwyli.

Teraz ogień zabrał mi Larsenię i o mało nie uśmiercił Jona. Ogień bardziej jeszcze zdradziecki, bo z zendo zrodzony. Jaka siła i z jakim zamiarem postawiła zendo na mej drodze po raz drugi, dodając nowe nieszczęście do plag, które wcześniej na nas spadły?

Nie przestawałem zadawać sobie tego pytania, kiedy złożyłem w grocie doczesne szczątki Larsenii i zagroziłem kamieniem wylot grobowca. Miałem wrażenie, że śmierć Larsenii zbliża mnie w jakiś sposób do rozwiązania nieszczęsnej zagadki. Lecz próżno wyteżądałem umysł, by samemu je znaleźć.

W takim stanie ducha pozostałem przy grobie Larsenii przez wiele godzin. Wieczorny chłód przypominał mi, że noc się zbliża. Podniosłem się z ziemi i ruszyłem z ociąganiem w stronę Mendery. Dopiero wtedy spostrzegłem, że nie jestem sam: na jednym z głazów Kamiennej Kotliny przysiadł Dardan i najwyraźniej mnie oczekiwał. Dołączył do mnie chyżo. Jego widok szczerze mnie ucieszył, przypominając mi zarazem, że z każdym dniem otacza mnie coraz mniej znajomych twarzy.

Szliśmy jakiś czas w milczeniu. Dardan odezwał się pierwszy:

– Widziałem je, panie.

Przyjrzałem mu się zaskoczony.

– Mówisz o zendo? – spytałem, by się upewnić.

– Nie inaczej. Do tej pory trzęsę się ze strachu. Zawsze myślałem, że nie ma gorszego losu od śmierci głodowej, ale ostatniej nocy zmieniłem zdanie. – Westchnął dramatycznie. – Wolałbym umrzeć z głodu, niż samemu stać się przekąską dla głodnego potwora.

Uśmiechnąłem się mimowolnie. Zaraz jednak spoważniałem.

– Nie wygląda na to, by napały na Menderę powodowane głodem.

– Masz na myśli ogień?

Przytaknąłem skinieniem głowy. Dardan poruszył mięsistymi uszami, jak czynił to zawsze w chwilach zdenerwowania.

– Też nad tym myślałem – podjął z namysłem. – Wśród przekazów i baśni, które przez lata zgromadziłem, jest sporo opowieści o zendo. Zastanawia mnie, że żadna nie wspomina o tym, by natura wyposażyła zendo w ognisty oddech zdolny wzniecić pożar.

– Skąd więc te się wzięły?

Dardan wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie znam wszystkich pytań świata, cóż dopiero mówić o odpowiedziach. Wiem za to jedno: tak jak woda szuka wody, tak ogień łączy się z ogniem. Bestie zioną ogniem, zatem ogień je stworzył i on jest ich dominującą naturą. Nie potrafię podać ci, panie, uzasadnienia, ale jestem przekonany, że w żarze płomienia miały swój początek.

Ledwo to powiedział, stanął mi przed oczami obraz sprzed lat. Przypomniałem sobie, jak osaczony Kwapra ciska sakwę z kością zendo do ogniska: płomień wystrzelił w górę, wysoko wyrzucił czarną kość potwora. Kość rozpadła się na kawałki, część osiadła na ziemi, reszta niesiona wiatrem spadła między drzewa.

Domyślałem się teraz, co stało się potem. Rozsiane po lesie szczątki przeleżały aż do niedawna, kiedy ognisty deszcz ożywił je i sprawił, że w ciągu jednej nocy wyrosły na podobieństwo swego pierwowzoru.

Zdawało mi się zatem, że znalazłem odpowiedź na pytanie Dardana, skąd wzięły się zendo obdarzone ognistą naturą. Tyle że nadal nie wiedziałem, za czyją przyczyną do nieszczęść ostatnich tygodni dołączyła plaga zendo.

\*\*\*

Bestie jeszcze tej nocy przypuściły kolejny atak. Nadleciawszy jak poprzednio w trójkę, obróciły w zgliszcza Wieżę i wschodnie skrzydło pałacu, po czym spadły na domy Mendery. Większość mieszkańców zaatakowanych domostw spała niczego się nie spodziewając, i mało kto zdołał ująć z życiem. Kiedy historia powtórzyła się kolejnej nocy, stało się oczywiste, że potwory upodobały sobie nocną porę.

– Ogień jest przyjacielem ciemności – skonkludował Dardan, który wspiął się ze mną na szczyt nadpalonych murów ostoji, by z ich wysokości

ocenić rozmiar strat. – Prawda, ogień jest straszny i za dnia, lecz noc jeszcze potęguje grozę.

Musiałem się z nim zgodzić. Ci, którzy nie zginęli w pożarze albo od ciosów bestii, zostali stratowani przez uciekających w popłochu pobratymców. W Menderze całkowicie zamarło życie. Część centralna oraz zachodnie obrzeża ostoi zostały doszczętnie spalone. Drewniane domy szybko poddawały się płomieniom, a z kamiennych budowli pozostały tylko poczerniałe szkielety, wewnątrz do cna wypalone.

Pozostali przy życiu mieszkańcy założyli obozowiska nad jeziorkiem Iku lub przenieśli się do pobliskich wiosek i obozów ocalańców. Jona oddałem już wcześniej pod opiekę rodziny kniejarza Borusa, którego żona Nara przed miesiącem powiła dziecko. Chętnie zgodziła się doglądać Jona i pełnić rolę mamki.

Sam z rzadka zaglądałem do wioski Borusa. Większość czasu spędzałem z Sajaderem i krepokiem Kirpiszem na naradach. Ten ostatni cieszył się uznaniem nie tylko wśród ocalańców spod Ałtu, którzy słusznie upatrywali w nim zdolnego przywódcę, lecz zyskał sobie również szacunek większości krepoków i pośledników. Choć noga, którą złamał w czasie ucieczki spod Ałtu źle mu się zrosła i do starczych dolegliwości dołączyło teraz utykanie, przymioty jego umysłu sprawiły, że krepocy, z wyjątkiem ludzi Melkama, uznali w nim swego przedstawiciela. Za sprawą Kirpisa właśnie jego ziomkowie przygotowali dla mieszkańców Mendery miejsce w swoich obozowiskach, pomagając im w postawieniu szałasów i wotroków oraz dzieląc się jedzeniem. Przy tej okazji nie mogłem oprzeć się refleksji o zmienności losu: ci, którzy niedawno sami pomocy potrzebowali, teraz nieśli pomoc swym niedawnym darczyńcom.

Pierwszą noc po opuszczeniu Mendery postanowiłem spędzić właśnie w domu Kirpisa. Mieszkał w skromnej biece z nie ociosanego drewna na skraju obozowiska, wcale nie lepszej od domostw innych ocalańców spod Ałtu. Przyjął pod swój dach także Dardana i Medrę, która od pewnego czasu zarzucała codzienne wyprawy do kniei i nie odstępowała mnie na krok.

Dziwne myśli przychodziły mi do głowy, kiedy wieczorem wyszedłem przed białą Kirpisa. Wybiegłem wzrokiem ku leżącej nieopodal Menderze. Oto błazen i burkas stały mi się najbliższą kompanią. Straciłem Larsenię i Tetora, utraciłem królestwo. Władza okazała się czczym słowem, skoro wydarzenia ostatnich dni dowiodły, że nad niczym nie mam władzy. Okaleczony szkielet Mendery, sterczący żałośnie na tle ciemniejszego nieba, zdawał mi się wyrazistym symbolem mej niemocy. Im dłużej stałem i spoglądałem na mury, które jeszcze do niedawna były mi domem, tym bardziej wydawały mi się odległe. Czułem się jak człowiek wyrwany ze snu, doświadczający tej krótkiej chwili półotępienia, gdy rzeczywistość miesza się z sennym widzeniem i wcale nie wiadomo, co jest jawą a co senną ułudą. Byłem zawieszony między dwoma światami, coraz bardziej przeświadczony, że świetność Mendery i me panowanie były tylko wytworem fantazji pogrążonego we śnie umysłu.

Zaiste, dziwne myśli przychodziły mi do głowy.

W zamyśleniu nawet nie zauważyłem nadejścia nocy i dopiero szczek Medry przywrócił mnie do rzeczywistości. Zaszczekała ponownie, zawyla przeciągle i przysiadła na ziemi z łbem skierowanym ku Menderze. Znowu żałośnie zawyla. Pobiegłem wzrokiem w tamtym kierunku. Od północnej strony nadlatywały szybko trzy rozżarzone punkty. Zniknęły mi z oczu wśród pogorzeliści Mendery i wkrótce niebo rozświetliła łuna pożarów. Niedługo jednak zabawiły w Menderze. Widziałem, jak wlatują w górę i kierują się na wschód, ku jezioru Iku, w pobliżu którego założyli nowe obozowisko ocaleni z pożogi mieszkańcy Mendery. Ujądanie Medry wywabiło z białej Kirpisa i Dardana, wkrótce dołączyli do nas inni. Przyglądaliśmy się bezsilnie, jak raptem niebo na wschodzie jaśnieje i czerwienieje.

Tej nocy czuwaliśmy wszyscy, oglądając się z trwogą na wszystkie strony. Schroniliśmy się w białych dopiero wtedy, gdy weszło słońce. Zasnąłem na krótko, ale nawet we śnie widziałem słupy dymów unoszące się nad ziemią.

Dardan uprzedził mnie w porannym wstawaniu. Kiedy zbudziłem się po dwóch godzinach niespokojnego snu i wyszedłem przed bietę, zastałem go już na nogach. Wpatrywał się w dym z pogorzelniska nad Iku.

– Sajader pojechał tam skoro świt – oznajmił uprzedzając moje pytanie.  
– Poczekajmy na jego przybycie.

Nie czekaliśmy długo. Zdażyłem osiodłać grzywacza, kiedy Sajader nadjechał galopem w asyście czterech żołnierzy.

– Wracam znad Iku – zawołał wzburzony i zeskoczył z grzywacza. – Obozowisko spalone doszczętnie, nikt nie ocalał.

– Nie dziwota – odparłem ponuro. – Zendo najwyraźniej wyczekały pory, gdy wszyscy ułożyli się do snu.

Sajader przyjrzał mi się uważnie.

– Chcesz powiedzieć, panie, że bestie kierują się czymś więcej niż instynktem? – spytał marszcząc czoło.

– Wydają się być posłuszne sile, która nimi kieruje. Spaliły Menderę, teraz niszczą wioski i obozowiska. Widzę w tym jakiś zbrodniczy zamysł.

Sajader zasępił się.

– Skoro tak – mruknął – żadna ostoja czy obóz nie są bezpieczne. Nie starczy mi wojska, by w każdym miejscu wystawić strażę.

– Ludzka siła nic tu nie poradzi.

Sajader odpowiedział mi bezradnym spojrzeniem. Nawykły do wydawania i słuchania rozkazów, okazywał się bezradny wobec sytuacji, która wymykała się żołnierskiemu osądowi.

Westchnąłem zrezygnowany. W chwilach niepewności Sajader mógł na mnie spoglądać z nadzieją. Do kogo ja miałem się udać po radę?

– Jak powiedziałem – ciągnąłem – ludzka moc nic tu nie zdziała. Czy zapobiegłem trzęsieniu ziemi, powodziom, suszy, ognistemu deszczowi czy wreszcie napaści zendo? Nie, moja władza tak daleko nie sięga.. Jeżeli

oczekujesz po mnie rady czy decyzji, to powiem ci tylko, że niewiele więcej mogę od zwykłego poślednika.

Dardan chrząknął głośno, przypominając o swej obecności.

– Soki w żołądku mi się mieszają, jak tego słucham. – Skrzywił się, jakby chwyciły go boleści. – Chociaż Pan stworzył nas wszystkich równymi, to przecież nie bez przyczyny jednego ubiera w skórę poślednika, a drugiego w szaty waronga. Różne nam bowiem przydziela role. Tak jak poślednik szukający sprawiedliwości odwołuje się ostatecznie do swego waronga, tak i ty powinieś w sprawach królestwa słuchać głosu tego waronga, który nad nami wszystkimi stoi. Taki jest porządek świata i powinność królów, której nie godzi się zrzucać na pośledników.

Szczęśliwy naród, co ma mądrego króla. Ale po stokroć szczęśliwy król, któremu trafił się mądry błazen.

Słowa Dardana przypomniały mi również o postronku z węzłami grzechów, które nie zostały mi darowane. Nie przyjął ich płomień i ciążyły na mnie brzemieniem nie rozliczonych win.

Właśnie o ciężarze mych win myślałem, kiedy dosiadłem grzywacza, by w oddaleniu i w samotności zastanowić się nad sobą. Pojechałem nie obierając drogi, zdając się na ślepy los. Ocknąłem się dopiero na widok znajomych brzegów jeziora Iku, prześwietlającego między ogołoconymi z liści drzewami. Im bliżej byłem jeziora, tym większe ogarniało mnie przygnębienie. Żaden najeźdźca z kraju Mammonitów nie poczynił nigdy tyle spustoszenia, co ziejące ogniem bestie przez jedną noc. Płomień strawił prowizoryczne domostwa i sprzęt, nie oszczędzając mieszkańców. Ci, którzy zdołali wydostać się z pożogi, zginęli w straszliwych męczarniach od ran zadanych przez zendo. W czym zawinili? Nie mogłem uwierzyć, że istnieje wina, która wymagałaby aż takiej kary.

Zdjęty grozą, w pierwszej chwili zamierzałem zawrócić i uciec. Ale strach ustępował powoli przed innym uczuciem. Narastał we mnie gniew na widok ogromu cierpienia, dla którego nie znajdowałem przyczyny. Zawołałem głośno, w jednej chwili zamieniając się z grzesznika w sędziego:

– Mówisz, że jesteś sprawiedliwy? Więc za jakie grzechy nas karzesz?  
A może sam nie jesteś bez winy?

Mój krzyk spłoszył grzywacza. Zwierz wierzgnął i zrzucił mnie na ziemię. Upadłem tak niefortunnie, że Jafter odpiął mi się od pasa i przepadł gdzieś w wypalonej trawie. Wstałem obolały i pokuśtykałem, by podnieść broń i z powrotem przypasać. Schyliłem się, chwyciłem rękojeść – rżec ani drgnął. Pociągnąłem mocniej, jednak Jafter jakby przyrósł do ziemi. Oblał mnie zimny pot. Wtem poruszyła się trawa, zaszumiały bezlistne drzewa i rozległ się głos:

– Słusznie uważasz, Mikorze, że nic nie dzieje się bez przyczyny.  
Widzisz znaki, lecz nie potrafisz ich odczytać.

Głos zdawał się napływać zewsząd, wszechobecny jak powietrze.

– Kim jesteś? – spytałem oszołomiony. Wciąż klęczałem na ziemi, z dłonią na rękojeści Jaftera.

– Znasz moje imię, skoro mnie przyzywasz.

– Słyszę głos, ale nie widzę postaci.

– Już raz wystawiłeś mnie na próbę. Dobrze wiesz, że nie mam jednego kształtu. Skoro wszystkie sam stworzyłem, mogę przybrać dowolną formę.  
Teraz wstań i podejdź do brzegu.

Podniosłem się i stanąłem nad brzegiem jeziora. Woda po opadach ognistego deszczu była mętna – i także ujrzałem w niej swe odbicie. Naraz na mych oczach obraz się rozjaśnił i jakby na gładkim zwierciadle zaczęły się przesuwać, jedna po drugiej, podobizny osób mi znanych oraz twarze nie zapamiętane. Poznałem ojca z brodą gęstą jak grzywa manbesy. Potem zjawił się Aszter, mój opiekun z młodzieńczych lat i przyjaciel wieku późniejszego, który oddał życie broniąc mnie przed kapłanem Kwapną. Następnie ukazał się Miszra, druh najwierniejszy, któremu za przyjaźń odpłaciłem banicją; po nim nadeszły Amsa i Larsenia, obie dziwnie do siebie podobne. Pokazały mi się także twarze Hidrama i Tetora, a pomiędzy nimi podobizny wielu tych, którzy odeszli wcześniej i których imion już nie pamiętałem. Wszystko to po to, bym przekonał się naocznie, że twarz i kształt są obrazem dla oczu, to zaś, co najważniejsze, poza wzrokiem się kryje.

– Poznaję, kim jesteś – powiedziałem cicho – lecz nadal nie potrafię odczytać znaków, które nam zsyłasz.

– Trzęsienie ziemi, wylewy rzeki i susza na przemian z ognistym deszczem to znaki odejścia, Mikorze. Tak jak grzmot ostrzega o nadciągającej burzy, tak znaki odejścia mówią o groźbie zagłady. Zbierz wszystkich, którzy cię posłuchają i poprowadź ich w bezpieczne miejsce.

Nie mogłem teraz nie zadać pytania, które samo cisnęło mi się do głowy. Wahałem się jeszcze, szukając odpowiednich słów. Pan najwyraźniej czytał w moich myślach, bo powiedział:

– Pytasz, czemu zsyłam na was zagładę? Gdyby tak było, czy ostrzegałbym was? Nie, Mikorze, nie wszystkie te znaki pochodzą ode mnie i nie ja szykuję wam zgubę. Plaga zendo to zapowiedź zagłady, symbol Makuna – zła, które z dobrem co dzień w zapasach się zwiera. Nie mam władzy nad Makunem. Nie mogę mu niczego zabronić, mogę tylko się starać pokrzyżować mu szyki. Tym razem Makun zwyciężył, bo własną niegodziwość połączył z ludzką zawiścią rzadkiej miary.

– Mówisz o Kwaprze? – wyrwało mi się, zanim zdążyłem pomyśleć.

– Zło w podłości gustuje i na niej się wspiera. Kwapra za życia wielce się zasłużył dla Makuna, więc po śmierci zasilił szeregi jego sług.

Wydarzenia ostatnich tygodni znalazły oto wytłumaczenie, lecz świadomość tego nie była mi wcale pociechą. Poczulem się bezbronny, jak przed laty w świątyni, kiedy pakri Kwapra na jednej z lekcji zamierzył się na mnie biczem.

– Co możemy zrobić? – zapytałem cicho.

– Przekroczycie Samalaki i skierujecie się dalej na zachód. Poszukacie nowej siedziby. Przed wami długa droga i nie oczekuj ode mnie, że ci ją wskażę. Dochodzenie do celu samo w sobie jest celem i nauką.

– Skąd będziemy wiedzieli, że doszliśmy do celu?

– Poznacie to po skale, która rano wynurza się z morza, by wieczorem schować się z powrotem w wodzie. Odróżnisz ją od innych po tym, że nosi rysy twojego ojca, Hisaba. Zapamiętaj, co ci powiem: wyczekacie ranka, a

kiedy woda ustąpi i odsłoni skałę, przejdziecie, kierując się na nią, na drugi brzeg. Musicie zdążyć przed wieczorem, bo inaczej fale wracając odetną wam drogę.

Nagle ogarnęła mnie niemoc.

– Boję się, Panie – szepnąłem. – Jeżeli sam nie znajduję w sobie dość siły, jakże mam przekonać innych, aby za mną poszli?

– Strach i odwagę dzieli wąska granica. Wszystko zależy od tego, w którą stronę się skierujemy. Mówię ci teraz, Mikorze: postąp naprzód i wejdź do wody.

Zawahałem się. Po opadach ognistego deszczu woda w jeziorze była mętna i brudna. Przemogłem się jednak i wszedłem. W tej samej chwili ujrzałem, jak woda wokół mnie jaśnieje i staje się przejrzysta.

– Daję ci moc rozumienia języków – usłyszałem – i czynienia potrzebnych znaków. Będiesz umiał łączyć miłość z rozumem i siłą ducha z mocarnością postaci. Teraz podnieś swój raziec.

Wróciłem po broń i tym razem podniosłem ją bez trudu. Stałem zdumiony, daremnie próbując ogarnąć wszystko rozumem, kiedy głos przemówił ponownie:

– Czynię ten raziec znakiem naszego przymierza. Masz teraz siłę go unieść, bo otrzymałeś moc potrzebną do sprostania nowym obowiązkom. Strzeż go pilnie, Mikorze, dopóki bowiem jest przy tobie, nic ci nie grozi. Obejrzyj dobrze ostrze.

Obróciłem raziec Melkama w dłoni. Ostrze miało długość męskiego ramienia i kręty kształt jak ciało ranga, a jego środkiem biegła czarna żłobkowana pręga, która u samego dołu oplatała ostrze grubym potrójnym pierścieniem. Obraz ten znałem na pamięć i dlatego od razu dojrzałem to, co było w nim nowe: trzy pierścienie przy końcu ostrza zmieniły barwę z czarnej na czerwoną, błyszcząc teraz wyraziście, jakby pokrywała je świeża czerw.

Nim zdążyłem zadać pytanie, posłyszałem odpowiedź:

– Trzy razy zmierzysz się z Kwapną. Lecz nie zobaczysz go pod dawną postacią i nie poznasz przed czasem, z kim masz do czynienia. Ilekroć

wyjdiesz ze starcia zwycięsko, jeden z czerwonych pierścieni na ostrzu zmieni kolor z powrotem na czarny. Strzeż zatem rażca Melkama i miej się na baczności.

Przypasałem ramię i rozejrzałem się za grzywaczem. Stał cierpliwie pięć kroków dalej, skubiąc mizerne resztki trawy. Choć kształtów potężnych i zdolny ponieść trzech jeźdźców na raz, bez uzdy i przewodnika był tylko bezwolnym stworzeniem, które samo nie potrafi obrać właściwej drogi. Wzniosłem ku niebu otwarte dłonie i zawołałem:

– Jakże mam zmierzyć się w pojedynkę z Makunem i Kwapną? Dałeś mi odwagę, lecz nie odebrałeś rozumu. Sam nie dam rady.

– Wielu jest doświadczanych, lecz niewielu wybranych. Wybrałem cię spośród innych i ciebie będę wspierał. Pora ruszać, Mikorze.

Posłuszny nakazowi, dosiadłem grzywacza. Obejrzałem się ostatni raz. Woda w jeziorze Iku była teraz klarowna i błyszczała srebrzyście.

– Już czas, Mikorze – usłyszałem przynaglający głos. – Zwołaj wszystkich i każ im szykować się do odejścia. Ruszajcie jeszcze dzisiaj. Kiedy zajdzie słońce, musicie znajdować się daleko od Mendery. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Spiesz się, Mikorze.

W drodze powrotnej ponaglałem grzywacza, aż zwierzę okryło się pianą. Zajechałem galopem przed białym Kirpisa i kazałem wołać Sajadera.

– Nie pytaj o nic, tylko rób, co ci każę – krzyknąłem, kiedy się zjawił. – Roześlij batangów po wszystkich obozach i krepach, żadnej nie pomijając. Niech wszyscy mieszkańcy zjawią się bezzwłocznie na polach przed Menderą gotowi do drogi. Mają zabrać tylko zapasy jedzenia i ubioru, żadnego zbędnego sprzętu.

Widziałem, jak Sajader wydaje rozkazy żołnierzom, po czym sam rusza do obozu kniejarza Borusa, by dopilnować bezpiecznego wyjazdu Jona i jego mamki. Kirpisz także nie zadawał mi pytań. Świadomy powagi chwili, polecił swoim ludziom szykować się do odejścia i wkrótce jako pierwszy dołączył do mnie. Powoził zaprzężonym w grzywacza wozem, na który jego ziomkowie załadowali resztę żywności.

W niecałą godzinę dotarliśmy na umówione miejsce. Na rozległe pola przy murach Mendery ścigały już pierwsze grupy. Oddaliłem się, wszedłem na ocalały fragment murów i zacząłem wypatrywać. Jezdni i piesi nadciągali z widomym pośpiechem, nie dbając o porządek pochodu, najwyraźniej czas mając na uwadze. Żołnierze Sajadera dobrze się spisali. Kiedy słońce stanęło wysoko na niebie, na wprost bramy Mendery kłębił się rozgorączkowany tłum. Wszyscy spoglądali w moją stronę; pokazując mnie palcami, zadzierali głowy i wymieniali głośno uwagi. Krzyk ludzi mieszał się z porykiwaniem pędzonych zwierząt. Widziałem, jak Sajader z żołnierzami objeżdżają zbiegowisko i w trosce o porządek każą przestawiać wozy i dzielą zgromadzonych na mniejsze grupy, każdej z nich przydzielając dwóch żołnierzy.

Nie chciałem dłużej czekać. Chwyając się szczerb w murze, zsunąłem się na dół, wskoczyłem na wóz Kirpisha i wdrapałem się na stojącą na wozie drewnianą skrzynię. Górowałem teraz nad wszystkimi, za plecami miałem mur, przed sobą rozgorączkowany tłum. Podniosłem ręce na znak, by się uciszono. Trwałem tak czas jakiś z zamkniętymi oczami, powtarzając bezgłośnie wersety modlitwy. Prosiłem Pana, by wypowiedział mi właściwe słowa. Wciąż jednak czułem pustkę w głowie, kiedy przemówiłem donośnym głosem:

– Staję przed wami, albowiem zawiniłem wobec Pana i w waszej obecności do tego się przyznaję. Zawiniłem, bo w gniewie przeklinałem Go za plagi, które na nas zsyła. Dziś sławię Jego imię, zapomniał mi bowiem me zwątpienie i objawił plany, które z Jego polecenia wam przynoszę. Słuchajcie pilnie, bo czasu mamy niewiele. Znaki Pana były przestrożą, że gorsza plaga się zbliża, plaga, której nawet Jego moc nie zdoła zapobiec. Znak zendo jest tej plagi zapowiedzią i nie od Stworzyciela, lecz od Makuna pochodzi. Musimy się ratować.

Potoczyłem wzrokiem po zgromadzonych. Odpowiadali mi bezradnymi spojrzeniami, kręcąc głowami w zadziwieniu.

– Jeżeli zostaniemy, zagłada nas nie minie – podjąłem gromko. – Pan przykazał mi wyraźnie: „Zwołaj wszystkich i każ im szykować się do odejścia. Ruszajcie jeszcze dzisiaj. Kiedy zajdzie słońce, musicie znajdować się daleko

od Mendery.” Powiem wam, co zrobimy: przejdziemy Samalaki i po drugiej stronie poszukamy nowej ziemi.

– Cóż to za medyk, który leczy ranę posypując ją solą? – ktoś głośno zawołał. Wszyscy odwrócili głowy w stronę, skąd głos dobiegał. Nieco na uboczu, nie mieszając się z tłumem, zatrzymał się młodzik Melkam w otoczeniu swych popleczników. Podobnie jak większość ludzi w jego gromadzie, dosiadał grzywacza i miał na sobie żołnierski strój. Naliczyłem przy nim trzy tuziny jeźdźców i dwa tuziny pieszych, lecz rozum mi podpowiadał, że druga część gromady wmieszała się w tłum. Spostrzegłem, że Sajader formuje batangów, zamierzając z dwóch stron okrążyć ludzi Melkama. Powstrzymałem go ruchem ręki i zawołałem do młodzika:

– Czasu mamy niewiele. Mów, z czym przychodzisz.

Melkam objechał tłum i zatrzymał grzywacza na wprost mnie, w odległości około trzydziestu kroków.

– Kazesz nam porzucić rodzinną ziemię? – zakrzyknął ponad głowami zgromadzonych. – Jakim prawem do nieszczęść, które na nas spadły, chcesz dodać nowe?

– Nie od siebie rozkazuję, tylko w imieniu Pana.

Melkam zaśmiał się hałaśliwie.

– Ty nam to mówisz? A kimże jesteś? Władcą, który w dwa tygodnie utracił władzę, królestwo, i zaufanie poddanych. Dlaczego mamy wierzyć, że z interwencji Stworzyciela, a nie z twojej winy spadają na nas te wszystkie nieszczęścia? Może własne grzechy i nieudolność chcesz kryć za powagą wyroków Pana?

Zdumiałem się po raz kolejny słysząc, jak młodzik przemawia. Choć urodzony w rodzinie krepoków i wychowany w wiejskiej ostoi, wysławiał się jak kształcony mówca. Zastanawiałem się gorączkowo nad odpowiedzią, kiedy dotknąłem gałki rażca. Dobyłem broń i wzniosłem ostrze ku niebu.

– Pan uczynił ten razięc znakiem nowego przymierza. Ostrze biorę na świadka, że to, co mówię, z Jego ust pochodzi.

Ledwo przebrzmiały te słowa, przetoczył się grzmot i w jednej chwili niebo pociemniało. Na wschodnią stronę wypłynęła biała chmura. Na naszych oczach przybrała postać olbrzymiego zendo o trzech jednakich głowach i szybko zaczęła płynąć w naszą stronę. Równie niespodzianie na niebie rozbłysły błyskawice, każda w kształcie rażca Melkama; rażąc bestię przy wtórze narastających grzmotów, rozszarpały olbrzymie cielsko na strzępy, aż nic z bestii nie zostało. Burza ucichła, wypogodziło się, na bezchmurnym niebie znów świeciło słońce.

Podniósł się szmer zdumienia; z początku cichy, z każdą chwilą przybierał na sile, aż przeobraził się w gromki chór głosów, w którym dało się wyróżnić okrzyki:

- Biada nam!
- Mikor prawdę mówi!
- Znak rażca niechybnie od Pana pochodzi!
- Trzymajmy się waronga, bez niego zginiemy!

Spostrzegłem, że młodzik Melkam wykrzykuje coś do swoich popleczników. Otoczyli go zwartym kręgiem.

Sajader nadjechał galopem i nie zeskakując z konia, rzucił do mnie ściszym głosem:

- Powiedz słowo, panie, a przetrzebimy ich tak, że się nie podniosą.

Lepsza okazja nam się nie nadarzy.

- Wstrzymaj się, nie uderzę pierwszy. Nie tego nam teraz trzeba.

Schowałem ramię do pochwy i ruchem ręki nakazałem, by tłum się uspokoił. Zaległa cisza. Słysząc było tylko groźne pomrukiwania ludzi Melkama.

– Nie pora na waśnie – powiedziałem nie podnosząc głosu, na tyle donośnie, by mnie wszędzie słyszano. – Jak przykazał Pan, powiodę ze sobą tych, którzy mnie posłuchają. Kto chce mnie odstąpić, niech to uczyni teraz. Przysięgam, włos mu z głowy nie spadnie. Decydujcie.

Tłum zafalował, ale mało kto ruszał się z miejsca. Ze środka zaczęły przedzierać się na zewnątrz pojedyncze osoby: naliczyłem blisko dwa tuziny. Dołączyli do młodzika Melkama i widać było, że znają się nie od dzisiaj.

Melkam okręcił w miejscu grzywacza i zakrzyknął:

– Wraz z królestwem straciłeś kralec i siedlec, atrybuty swej władzy. Powiem więcej: nie masz już prawa do raźca Melkama. Mój wielki imiennik przewraca się w grobie na taką niesławę. Jego raziec w godniejsze winien trafić ręce. Biorę Stworzyciela na świadka, że gotów jestem wziąć na siebie ten obowiązek. Strzeż się, Mikorze, bo wkrótce upomnę się o raziec.

Po tych słowach spał grzywacza i pognał przed siebie, nie oglądając się na resztę. Pociągnęli za nim żwawo – jezdni w przodzie, piesi biegiem za nimi. Cała gromada oddaliła się już o dobre dwieście kroków i skierowała się na północny zachód, kiedy zza drzew wyłonił się i dołączył do pierwszej grupy oddział liczący dobre cztery tuziny jeźdźców. Melkam zgromadził więcej zwolenników, niż przypuszczałem.

W pół godziny potem byliśmy gotowi do drogi. Obraliśmy najkrótszy szlak na zachód, chcąc jak najszybciej dotrzeć do podnóża Samalaków. Przez cały czas nawet raz nie obejrzałem się za siebie. Chciałem zachować Menderę w pamięci taką, jaką znałem za szczęśliwych dni.

\*\*\*

Noc zastała nas o cztery godziny marszu od przełęczy Nihapu. Zapamiętałem tę nazwę ze strzępów map sporządzonych przez Kwaprę, jakie znalazłem przed szesnastu laty w świątyni już po jego śmierci i ucieczce pozostałych kapłanów. Przełęcz Nihapu przedstawiono na mapach jako najdogodniejsze miejsce do przekroczenia Samalaków i miałem nadzieję, że takim się okaże.

Po krótkim nocnym wypoczynku ruszyliśmy dalej, obierając ten sam co poprzednio szlak. Czoło pochodu otwierał oddział w sile dwóch tuzinów batangów dowodzony przez Sajadera. Dalej jechało dziesięć wozów ciągniętych przez grzywacze, wypełnionych jedzeniem i ciepłymi ubiorami; za nimi podążali jezdni i piesi w porządku, jaki dyktowały im więzy

pokrewieństwa i wymogi bezpieczeństwa. Na końcu pochodu kroczyło sześciu wyznaczonych krepoków, którzy mając do pomocy specjalnie przysposobione burkasy, pędzili przeznaczone na ubój paśne zwierzęta. Podobnie jak w przodzie, skrzydła pochodu i jego tyły osłaniali żołnierze królewskiego hufca.

Jechałem jako jeden z pierwszych. Przed sobą miałem wóz Kirpisha, za plecami zaś wóz kniejarza Borusa, na którym siedziała mamka Jona, Nara i jej synek Orfin. Dardan w trosce o własną wygodę wybrał wóz Kirpisha zamiast grzywacza, jednak musiałem przyznać, że pracowicie spędził pierwsze godziny wędrówki. Wraz z czterema żołnierzami przeprowadził spis ludzi i dobytku i w czasie nocnego postoju przedstawił mi jego wyniki. Mieliśmy dwadzieścia trzy tuziny żołnierzy, co oznaczało, że z pięciu chorągwi królewskiego hufca ocalały niespełna dwie; w tej sytuacji nie widziałem potrzeby utrzymywania dawnego podziału wojska. Sajaderowi powierzyłem bezpośrednio dowództwo, oddając mu także cztery tuziny żołnierzy z dawnych oddziałów krepockich. Cywilów ocalało nieco ponad siedemdziesiąt tuzinów, wliczając mężczyzn, kobiety i dzieci. Jeśli dodać do tego dziesięć tuzinów ocalańców, którzy pociągnęli z młodzikiem Melkamem, z życiem uszła nie więcej niż czwarta część mieszkańców krainy.

Świadomość tego kładła mi się na sercu ogromnym ciężarem. Ale oplakując umarłych, nie mogłem zapomnieć o żywych. Z tą myślą dotarłem do podnóża Samalaków i po zaledwie godzinnym postoju na posiłek, nakazałem podjęcie wspinaczki. Droga wiodła z początku łagodnym stokiem, pozwalając grzywaczom ciągnąć wozy. Jednak po godzinie wspinaczki stało się oczywiste, że dalej ciężaru nie pociągną. Kazałem grzywacze wyprzęgnąć, a zapasy z wozów załadować na grzbiety zwierząt; tym sposobem ku rozpaczy wielu zmuszeni byliśmy zostawić więcej niż połowę wywożonego dobytku. Pomogłem Kirpiszowi dosiąść grzywacza, sam zaś posadziłem przed sobą Jona, jego mamce także przydzielając grzywacza.

Posuwaliśmy się w milczeniu, coraz bardziej strudzeni. Najgorsze dopiero nas czekało. Kamienisty szlak zamienił się w wąską śliską ścieżkę, która pięła się stromo skrajem przepaści. Wkrótce straciliśmy dwóch

batangów, kiedy niosące ich grzywacze poślizgnęły się na mokrym gruncie i spadły w dół razem z jeźdźcami. Dalej mogliśmy poruszać się tylko pieszo. Wiodąc grzywacza za uzdę, posuwałem się ostrożnie, co chwila sprawdzając, czy Jon jest bezpieczny w nosidełku, które przywiązałem sobie do pleców. Kirpisz wspinał się przede mną, lecz widziałem wyraźnie, że z coraz większym trudem stawia chorą nogę. Co jakiś czas przystawał, masował obolałą kończynę, po czym, wsparty o grzywacza, ruszał dalej. Tak doszliśmy do miejsca, gdzie ścieżka rozszerzała się nieco. Kirpisz przywiązał grzywacza do kamienia i usiadł na ziemi oparty plecami o głaz. Kiedy się z nim zrównałem, dał mi znak, bym szedł pierwszy.

– Odpocznę ździebko – wysapał. – Do szczytu jeszcze ze trzy czwarte drogi.

– Poczekam na ciebie.

– Nie trzeba, dam sobie radę – zapewnił i pomachał przynaglajaco ręką.

Zostawiłem go i podjąłem wspinaczkę. Zdążyłem ująć nie dalej niż dziesięć kroków, kiedy posłyszałem za sobą krzyki. Obejrzałem się szybko. Grzywacz Kirpisha stał uwiązany tam, gdzie Kirpisz go zostawił, ale jego samego nie widziałem. Na skraju ścieżki zebrało się kilku krepoków i krzycząc głośno, pokazywali coś sobie palcami. Idąc za ich wzrokiem, spojrzałem w dół: na dnie kamienistej przepaści leżał Kirpisz.

Stałem nad brzegiem przepaści jeszcze długo po tym, jak ostatni piechur minął mnie w drodze na szczyt. Zanosilem modły za duszę Kirpisha, prosząc Pana, by pomny zasług starca jeszcze tego samego dnia przyjął go do ogrodów Krainy.

Jon zaczął cicho kwilić, ale uciszył się szybko, gdy ruszyłem dalej. Wspinając się mozolnie po śliskiej ścieżce, głowę miałem zajęta myślami o Kirpishu, przeświadczony, że jego ofiara nie pozostanie daremna. Mieliśmy za sobą połowę drogi na szczyt, kiedy dobiegł nas niepokojący szum, jakby zapowiedź wichury. Spojrzałem w górę: bezchmurne niebo nie zapowiadało zmiany pogody. Hałas narastał, przybliżał się. Słyszałem teraz wyraźnie, że dochodzi z dołu. Przebiegłem wzrokiem stok i zmartwiałem: do podnóży

Samalaków zbliżała się ogromna fala. Woda nacierała z impetem, wdzierła się coraz wyżej, zalewając kolejne partie Samalaków, aż zatrzymała się w miejscu, w którym Kirpisz rozmawiał ze mną po raz ostatni.

Kiedy tuż przed zmierzchem stanąłem na szczycie i spojrzałem w dół, ujrzałem nieznanym mi wcześniej widok: w oddali aż po horyzont rozciągało się wodne pustkowie. Pod bezkresnym rozlewiskiem zginęły ruiny Mendery, wypalone słońcem pola i lasy Hitarry. Nic nie ocalało.

## Słowniczek wyrazów nowych i trudniejszych

*Ahmotep* – bóstwo Asynitów czczone pod postacią słońca

*Akwon* – bóstwo Gartów, władca wodnego żywiołu

*astyks* – czerwony kamień szlachetny

*banu* – długowieczne drzewo o potężnym pniu i rozłożystej koronie

*barbir* – roślina o dużych zielonych liściach, ściągających gorączkę i mających właściwości dezynfekujące

*batang* – wojownik, żołnierz

*batarang* – dowódca chorągwi

*belkot* – silny napój alkoholowy

*berkir* – owca

*beros* – niedźwiedź

*bielka* – kobieta

*bieta* – dom z drewna

*brzęczyk* – owad latający, zaopatrzony w żądło

*czerv* – krew

*czerwić* – krwawiec

*daruk* – osoba ściągająca złe moce, przynosząca nieszczęście; także zły duch przybierający ludzką postać

*derwer* – wędrowny kapłan

*dłubanka* – prymitywna łódź z odpowiednio wydrążonego pnia drzewa

*durian* – duży słodki owoc o barwie ciemnożółtej, czasem brunatnożółtej

*dzirgyt* – włócznia, oszczep, dzida

*głownik* – osoba przewodząca danej grupie pośledników

*grzywacz* – koń

*Igriada* – u Hyksosów: czas odpoczynku od pracy połączony z zabawami

*kirh* – drapieżny ptak o czarnym upierzeniu, osiągający wielkość orła

*kniejarz* – myśliwy

*kralec* – królewski miecz, oznaka władzy

*Kraq* – rada starszych u Kambriddów

*krąglak* – koło  
*krepia* – wiejska osada  
*krepok* – mieszkaniec wsi, chłop  
*Kri* – jedno z imion Stworzyciela  
*lepia* – rodzaj bardzo słodkiego ciasta z dodatkiem miodu oraz innych smakowych składników  
*listok* – bardzo cienki płat z kory, służący do pisania i rysowania  
*Makun* – siła nieczysta, uosobienie złych mocy  
*Mammonici* – wrogowie Kambriddów  
*manbesa* – lew  
*Manta Pati* – Wieża Królewskiego Panowania  
*Manra* – bóstwo Hyksosów czczone pod postacią słońca  
*marlin* – krzaczasta roślina o czerwonych kwiatach, rodząca owoce o lekko cierpkim smaku  
*matryka* – ziele pomocne na wiele chorób, którego korzeń służy za afrodyzjak  
*męczyk* – rodzaj czerwonej mrówki, wszystkożerny; tworzy kopce  
*mika* – koszula, rzadziej kaftan, z długimi rękawami  
*mlaskur* – krowa  
*mlast* – owad kąsający, żywiący się czerwią  
*nargoty* – spodnie  
*nosielnik* – naczynie, flakonik, buteleczka  
*omieszkać* – zapomnieć  
*orężnik* – wytwórca broni  
*osmulka* – rodzaj placka z grubo mielonej mąki, wypiekanego w glinianych nosielnikach nad ogniskiem  
*ostoja* – miasto, osada  
*ościeżnia* – drzwi  
*ościeżnica* – okno  
*pagost* – krzaczasta roślina o drobnych parzących listkach  
*papat* – jadalne warzywo, rodzaj ziemniaka

*paśny* – wypasiony, gruby; (o zwierzęciu) gotowy do uboju  
*pięcionóg* – słoń  
*pleciak* – prymitywne, plecione obuwie z wikliny  
*plawnia* – duża łódź; statek do przewozu ładunków  
*postrzygacz* – poślednik zajmujący się stryżeniem berkirów  
*poślednik* – krepok lub wyrobnik niskiego stanu i funkcji  
*przebaczyć* – nie zauważyć, przegapić  
*rang* – wąż  
*raziac* – krótki miecz, rodzaj sztyletu  
*rong* – książkę  
*ródka* – kobieta po porodzie  
*siedlec* – królewski tron, oznaka władzy  
*siedlik* – stołek, taboret; także rodzaj niskiego stołu  
*stirak* – mysz  
*Stworzyciel* – Stwórca  
*tamarak* – skórzany bęben  
*taróg* – duży jaszczur, odpowiednik dzisiejszego krokodyla  
*ubojnik* – rzeźnik, poślednik zajmujący się ubojem zwierząt  
*ugłować (coś), ugłować coś sobie* – zrozumieć; pomyśleć; uzmysłowić sobie  
*ulap* – lekarz  
*uwygodnić się* – usiąść wygodnie, zająć wygodne miejsce  
*wabatang* – „dowódca dowódców”, dowódca hufca królewskiego  
*warong* – władca, król  
*warzelnik* – poślednik biegły w wyrabianiu strawy i napojów  
*watrok* – namiot ze skóry  
*wendok* – człowiek żywiący się energią innych ludzi, nierzadko pozbawiający ich życia  
*wodniarz* – poślednik mający w pieczy czystość pitnych źródeł  
*wyrębnik* – kniejarz zajmujący się wyrębem drzew

*wyklucznia* – „święte świętych”, miejsce w świątyni, gdzie przechowywana jest Księga Kri; również odosobnione miejsce przygotowujące do duchowego oczyszczenia i przemiany

*zendo* – smok